



FEDERICA BOSCO 

Skrajnie  
Myślne  
Sygnaty

Bestsellerowa autorka.

Ponad 800 000 egzemplarzy sprzedanych we Włoszech!

Prószyński i S-ka

FEDERICA  
BOSCO

Skrajnie  
Mylne  
Sygnały

Przełożyła  
Agata Pryciak

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

SMS

STORIE MOSTRUOSAMENTE SBAGLIATE

Copyright© 2014 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A., Milano

I edizione maggio 2014

All rights reserved

Pubblicato in accordo con Grandi&Associati, Milano

Projekt okładki

Katakanasta Joanna Wasilewska

Zdjęcie na okładce

© Alliance/Shutterstock.com

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Joanna Habiera

Korekta

Grazyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-672-6

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Wszystkim tym, którzy zerkają na telefon*

*dokładnie co czterdzieści trzy sekundy*

## Rozdział 1

– Rzuć go w końcu!

– Bez dwóch zdań!

– Nie mogę, nie dam rady, nie umiem bez niego żyć! – jęczę skulona na krześle, z czołem opartym o krawędź kuchennego stołu i bezwładnie opuszczonymi ramionami.

Te kategoryczne żądania padają z ust dwóch moich przyjaciółek, które tak naprawdę serdecznie się nie znoszą, ale dziwnym trafem, gdy w grę wchodzi decyzja o moim życiu, nagle stają się zdumiewająco jednogłośne.

Ale co one w ogóle o mnie wiedzą? Skąd mogą wiedzieć, jak ja się czuję?

– Zobacz, do jakiego stanu się doprowadziłaś!

To Laura, ciąża w wieku dziewiętnastu lat, ojciec dziecka nieobecny. Trochę naiwna, ale słodka, wyrozumiała i zawsze, we wszystkim i u wszystkich, doszukuje się pozytywów, nawet w kwestii swojego byłego, który właściwie zbiegł sprzed ołtarza.

– Nie powinnaś tego dłużej ciągnąć!

To akurat Marta, obecnie związana z byłym alkoholikiem (nie takim znowu byłym...). Cyniczna, bezkompromisowa, zawsze ma rację. W skrócie: jurorka z *MasterChefa*.

– Dlaczego? O co wam chodzi? Zabiłam kogoś czy co? Dlaczego sobie nie odpuścicie? Własnego życia nie macie? – burczę w stronę swoich kolan.

Te babskie wieczory robią się nieznośne.

Na początku wyglądało to całkiem jak z *Płotkary*<sup>1</sup> – spotykałyśmy się u mnie, obalałyśmy kilka butelek prosecco, wymieniałyśmy się nowinami i gadałyśmy o dietach, reality show i tych głupich programach o pannach młodych, kolekcjonerach obsesyjnie gromadzących przedmioty i grubasach, ale od sześciu miesięcy Laura i Marta urządziły sobie tu strzelnicę ze mną w charakterze celu. Pewnie są zadowolone, że znalazły sposób, by zapomnieć o swoim beznadziejnym życiu...

– Czytałam w gazecie, że kobiety nieszczęśliwe w związku są bardziej narażone na osteoporozę – obwieszcza Laura.

– Osteoporozę? – powtarzam bezradnie, podnosząc głowę znad stołu.

– A może chodziło o cholesterol...?

– Moja znajoma czekała dziewięć lat, aż on się rozwiedzie. Zorganizowali przyjęcie w zamku w Toskanii, suknia ślubna była dokładnie taka, jaką miała Kate Middleton, pierścionek z diamentem wielkości orzecha pekanowego, i teraz uwaga, miesiąc miodowy na Malediwach, mucha nie siada, wersja de luxe!

– No i co? – pyta Laura z nadzieją.  
– Umarł w przeddzień ślubu.  
– Przestaniecie wreszcie? To i tak na mnie nie działa – protestuję.  
– Martwimy się o ciebie, masz początki depresji, nie jesz, nie śpisz, płaczesz i nie odklejasz się od telefonu, jakby to była butla tlenowa. Przekonasz się, że on ci zniszczy życie.

– Laura, on ma tylko żonę, nie jest terrorystą!

– Na jedno wychodzi.

No właśnie, chyba mówiłam: mam niecny romans z żonatym facetem.

Znaczenia słowa „niecny”: nikczemny, haniebny, nieprzyzwoity i obłudny – przymiotniki, które idealnie pasują do związków Brooke Logan z *Mody na sukces*. A przecież ze wszystkimi swoimi lubymi brała ślub i miała dzieci!

– Nic na to nie poradzę, że nie wyobrażam sobie życia bez niego! Przyjmijcie to łaskawie do wiadomości!

– Wcale nie jest trudno przestać się widywać z kimś, kogo prawie nie widzisz. Jesteś w związku z jego telefonem, a nie z nim – zauważa Marta. – A przy tym jacy wyście staromodni, nawet WhatsAppa nie używacie!

– On ma starą nokię, nie jest typem smartfonowca. Jakoś się dostosowałam.  
– Wzruszam ramionami.

– Masz chociaż korzystny abonament? W razie czego mogę coś podpowiedzieć, mamy teraz świetne promocje...

– Za kogo wy się uważacie? – pryham. – Stare wyjadaczki! A może wam moja matka zapłaciła, żebyście tu przylazły i mnie torturowały, co?

– Nie, jak przyszłyśmy, to już jej nie było.

– Chyba się nie zrozumieliśmy – mówię powoli, jakbym rozmawiała z dziewczynkami z trzeciej klasy podstawówki. – Kiedy jestem z nim, czuję się tak, jak nigdy wcześniej się nie czułam. Czuję, że żyję. On traktuje mnie jak książniczkę; kiedy jesteśmy razem, cały świat przestaje istnieć, to prawdziwa magia, a poza tym... – Specjalnie robię pauzę dla większego efektu. – A poza tym... on mnie kocha – oznajmiam, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem.

– Tak, ale w tej chwili on jest w łóżku ze swoją żoną. Zdajesz sobie z tego sprawę? – upiera się Marta.

– Spokojnie... – wtrąca Laura. Pewnie włączył jej się instynkt macierzyński.

– Tak Bri nie pomożesz.

– A właśnie że to jedyny sposób, żeby jej wybić go z głowy – odpowiada poirytowana Marta. – Nie widzisz, że zachowuje się jak kobieta na haju? Nie rozumiesz, że nie ma żadnej różnicy między tym, co czuje, a narkomanką na głodzie?

– Czy na przykład alkoholikiem...

– Wiesz, Laura, świnia z ciebie, ktoś ci to kiedyś powiedział? – odcina się Marta. – Dobrze się bawisz, powtarzając to przy każdej okazji?

– Powiedziałam tylko „alkoholik”. O co się wściekasz? Mam prosić o specjalne pozwolenie? Może to ty jesteś przewrażliwiona?

– Ja przynajmniej mam faceta.

– Nawet lepiej, masz faceta-gąbkę! – rechocze Laura.

– Wybaczenie, że przerywam ten finał mistrzów wagi ciężkiej – mówię. – Nie tylko mi nie pomagacie, ale sprawiacie, że mam ochotę zejść na dół do budy z chińskim żarciem i poszukać sobie nowych przyjaciółek.

– Coś ty, Bri... – Laura z krzepiącym uśmiechem ujmuje moją twarz w dłonie. – Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Niby jakie? – wcina się Marta. – Wrzucimy ogłoszenie na Facebooka, że szukamy płatnego zabójcy, który pozbędzie się jego żony?

– Dobra, dziewczyny, sarkazm stop na minutę! – Błagalnie składam ręce. – Chodzi o to, że nie mogę żyć ani z nim, ani bez niego. Co mam zrobić? Potraficie mi to jakoś wytłumaczyć?

– Była taka piosenka U2... Jak ona leciała? – zastanawia się Laura, ze swoją zwykłą prostodusznością.

– Powiedziała stop na minutę! – wrzeszczy Marta i szturcha ją łokciem. – A tak w ogóle to było *With Or Without You*.

Marszczę brwi i po kilku sekundach łzy spływają mi po policzkach. Niespodziewanie się rozklejam i cała się trzęsę.

Marta i Laura błyskawicznie wymieniają spojrzenia i równocześnie rzucają się na pomoc. Tulą mnie i ocierają mi łzy.

– No już dobrze, kochana... Kto by pomyślał, że miłość ma takie skutki... Nic się nie da z tym zrobić, mężczyźni nie cierpią tak jak my, nie potrafią się tak zaangażować – mruczy Laura, gładząc mnie po włosach.

– Oni są na niższym poziomie rozwoju! – wtóruje jej Marta, ten jeden, jedyny raz przytakując Laurze. – I dlatego trzeba traktować ich z pogardą, ignorować, deptać, poniżać, gnębić, nękać, likwid...

– Okej, chyba do niej dotarło... – ucina Laura i zabiera paczkę papierosów, którą Marta usiłuje zmiażdżyć w dłoni.

Znajome brzdęknięcie oznajmia mi, że właśnie dostałam esemesa.

Podsakuję na krześle jak oparzona i opędzam się od tych dwóch jak od natrętnych Cyganek. Pędzę do pokoju, gdzie czytam wiadomość:

*Otulam twe serce ciepłem mych dłoni*

*I kołyszę je do snu, maleńka.*

Żołądek podsakuje mi do gardła.

Przyjaciółki...

Według nich to nie miłość? Czym wobec tego jest miłość? Zadowolić się



pierwszym lepszym, byle nie być sama, czy w nieskończoność wypatrywać kogoś, kto się do tej pory nie zjawił i być może nie zjawi się nigdy?

A Luca jest, po prostu. Może nie codziennie i nie zawsze, ale jest. Jest w moim sercu, jest w mojej głowie, w każdej rzeczy, którą robię, i w każdej osobie, którą spotykam, jest częścią mnie samej. Czy naprawdę nie potrafia tego zrozumieć?

Na pewno mi zazdroszczą.

Wracam do nich, spokojna i wyluzowana, jak gdyby nigdy nic, i siadam z szerokim uśmiechem.

– Aż światło bije ci z oczu. Napisał? – pyta Laura podejrzliwie.

– Czekaj, niech zgadnę... – prychna Marta. – Pewnie słodka wiadomość na dobranoc... Pomyślmy... – Zamyka oczy, szukając natchnienia. – Wiesz, że jesteś złodziejką? Twoje oczy to dwie gwiazdy skradzione z nieba! – syczy złośliwie i zapala papierosa.

Unoszę brew, by spojrzeć na nią z wyżyn mojego błogostanu, chrząkam i uroczyście odczytuję tekst wiadomości.

– Ale ja to zdanie już gdzieś widziałam! – komentuje Marta. – A, tak, na jakimś kapslu albo w ciastkach. Może to nawet cytat z Oscara Wilde’a.

Nie dam się...

– Nie, no jasne, powiedzmy to sobie wprost – przerywa Laura. – Luca jest bardzo romantyczny, ale nie da się zaprzeczyć, że no... tak jakby nie jest do końca wolny.

– I, wybacz, że się powtarzam, że w tej chwili leży w łóżku ze swoją żoną, która może na chwilę wyszła do łazienki, a on skorzystał z okazji i napisał ci esemesa – podsumowuje Marta.

– W porządku, w tym miejscu pragnę uznać nasze spotkanie za zakończone. Coś mi się zdaje, że minie sporo czasu, zanim znowu was zaproszę – oznajmiam, łapię ich torebki i ruszam w stronę drzwi.

Podnoszą się i wkładają płaszcze.

– Postaraj się tylko nie zrobić sobie krzywdy, dobrze, kluseczko? – mówi Laura i cmoka mnie w oba policzki.

– Każdy dzień z nim to dzień stracony. Rzuć go, rozumiesz? To trochę tak jak rzucanie palenia, zobaczysz.

– Albo jak rzucanie picia! – krzyczy Laura z dołu schodów.

– Ja ją kiedyś zamorduję – obiecuje Marta, przewracając oczami.

Panie i panowie, oto przed wami moje „najlepsze przyjaciółki” – określenie, które od zawsze zdawało mi się całkowicie sprzeczne. To jakby powiedzieć „lew wegetarianin” albo „rozkoszny morderca”.

Zanim dwie kobiety w ogóle się zaprzyjaźnią i zdołają sobie nawzajem zaufać, muszą sprostać próbom, których nie powstydziliby się nawet w *Igrzyskach*

*śmierci*, a ile je czeka, zanim staną się najlepszymi przyjaciółkami!

Poza tym o prawdziwych przyjaciółkach można mówić dopiero wtedy, gdy nic złego się nie dzieje, to one trzymają za ciebie kciuki, świętują z tobą twoje sukcesy i cieszą się z twoich osiągnięć... Powiedzmy sobie wprost: kiedy zaczynają się schody, wszyscy są chętni, żeby się nad tobą litować!

Laurę poznałam na studiach. Zrezygnowała na drugim roku, bo musiała zająć się synkiem. Martę poznałam wiele lat temu na wakacjach – zaplanowałam sobie nieprzyzwoicie romantyczny tydzień z moim ówczesnym narzeczonym, który zostawił mnie na dwa dni przed wyjazdem, bo mu się nagle wszystko zaczęło wydawać zbyt poważne, a tempo zbyt szybkie.

Po trzech latach go olśniło...

I później jeszcze dodał: „zaszczyty” i parę razy: „wątpliwości”.

Pojechałam więc, sama, skołowana i w potężnym szoku, na zmianę płacząc i wymiotując podczas długiej przeprawy rozbujanym promem.

Beczałam dalej, kiedy mnie wieźli do hotelu, gdzie moją kulawą angielszczyzną tłumaczyłam, że wystarczy mi pokój z *single bed*, bo jestem *single*, a już tonęłam we łzach, oglądając te wszystkie cholernie idealne zachody słońca i wlewając w siebie litry przyprawiającej o mdłości retsiny<sup>2</sup>.

Marta też była sama, z tym że ona należy do tych, co uwielbiają spędzać wakacje w pojedynkę na czytaniu książek, zwiedzaniu okolicy i strzelaniu sobie selfie. Nigdy później nie miałam ochoty powtórzyć takiego urlopu, ale muszę przyznać, że pośród jej złośliwych żartów, niekończących się drinków i morderczego poparzenia słonecznego, przez które byłam zmuszona kapać się w T-shircie przez cały tydzień, jakimś cudem udało mi się na chwilę zapomnieć o moim zbiegłym narzeczonym.

Ale tym razem Marta i jej sarkazm rodem z sitcomu nie dadzą rady nic wskórać.

Już raz to powiedziałam, ale chętnie powtórzę: Luca jest inny, czuję, że to mężczyzna mojego życia, a to, że spotkaliśmy się dopiero po jego ślubie, nie oznacza, że nie ma dla nas wspólnej przeszłości.

Świetlanej wspólnej przyszłości.

Życie polega na popełnianiu błędów i zaczynaniu wszystkiego od początku, taka jest naturalna kolej rzeczy i nic dziwnego, że w którymś momencie odkochujemy się i zakochujemy na nowo.

My zaczniemy od nowa, a ja mu w tym pomogę.

Krzątam się po kuchni i odpisuję na jego wiadomość:

*Jesteś moim światłem, moją ostatnią myślą, zanim zamykam oczy, i pierwszą o świecie. Kocham cię. B.*

W sumie nie powinnam wysyłać mu wieczorem esemesów – istnieje spore ryzyko, że jest z nim jego żona, ale po tym, co mi wcześniej napisał, nie umiem się powstrzymać.

Nie wyłączam telefonu przed snem, z cichą nadzieją, że mi odpisze. Na razie to jedyny sposób, by razem spędzić noc, chociaż wyteżam słuch tak bardzo, że w końcu nie mogę zmrużyć oka.

Dobrze wiem, że to głupie i że moje przyjaciółki się o mnie martwią. Pewnie podobnie bym się zachowywała, gdyby to one spały z telefonem przy uchu – choćby przez to promieniowanie, które wypala dziury w mózgu, ale wiem, że tak musi być, że to tylko kwestia czasu, poza tym, to normalna cena za życie we współczesnym świecie.

Wreszcie zasypiam, ale i tak co chwilę się budzę, w przebłyskach świadomości myśląc o Luce.

Nie potrafię nad tym zapanować, no, może z wyjątkiem godzin spędzonych w pracy, chociaż i wtedy bywa ciężko.

Prawda jest taka, że strasznie za nim tęsknię, a widuję go tak rzadko, że nie pozostaje mi nic innego, jak ucześcić się wspomnień tych rzadkich wspólnych chwil. Noce są najgorsze.

Tęsknię za jego skórą, jego zarostem, który łaskocze i drapie jednocześnie, za tym, jak na mnie patrzy, kiedy myśli, że nie widzę, jak nagle przyciąga mnie do siebie, gdy nikogo nie ma na ulicy, kiedy się ze mnie nabija, że zamawiam dwa cheeseburgery w McDonalddie, jedynym miejscu, gdzie możemy zjeść razem kolację, bo jego żona jest wegetarianką i przynajmniej tam nie musimy się bać, że spotkamy ją albo jej ekologicznych przyjaciół.

O ile któregoś dnia nie postanowią urządzić pikietę przed wejściem.

Ale przede wszystkim tęsknię za naszą wspólną przyszłością – czułymi przezwiskami, które sobie nadamy, nawykami, które sprawiają, że będziemy czuli się jak w domu, porozumiewawczymi spojrzeniami, ulubioną stroną łóżka, brunchami w niedzielę rano i wszystkimi drobnymi elementami, z których zbudujemy nasze życie.

Powiedzmy to wprost, istnieje tysiąc powodów, dla których jestem w nim zakochana, i powstanie kolejnych tysięcy, kiedy wreszcie zamieszkamy razem.

Na przykład uwielbiam jego głos.

Ciepły, czuły, sam jego dźwięk sprawia, że przenoszę się w inną rzeczywistość, jak na latającym dywanie.

Kiedy po raz pierwszy zadzwonił do naszego biura i poprosił mojego szefa do telefonu, kolana mi zmiękły.

Zdawało mi się, że po drugiej stronie kabla mówi do mnie George Clooney (albo Barry White...).

Zrobiłam się czerwona jak burak i zaczęłam się jąkać. Nigdy nic takiego mi

się nie przytrafiło.

On był raczej szorstki, pamiętam, jakby to było wczoraj, powiedział coś w stylu: „Daj mi Borchiego do telefonu!”, w tak władczy i pewny siebie sposób, że mnie ciarki przeszły.

Od razu poczułam to przyciąganie, chociaż nie miałam bladego pojęcia, jak może wyglądać.

Chyba tylko my, kobiety, potrafimy kręcić sobie w głowie takie sceny, nie wiedząc nawet, z kim mamy do czynienia. Wszystko dlatego, że tylko my jesteśmy w stanie fruwać na skrzydłach fantazji, sięgać dalej, wyobrażać sobie nieznanne światy i horyzonty. Nie wyrabiamy sobie opinii na widok pary cycków czy krótkiej spódniczki.

Gdyby tak było, trzy czwarte męskiej populacji miałyby status singla.

A później Luca wpadł do nas do biura, a ja o mały włos nie dostałam zawału.

Był uosobieniem tego ciepłego, charyzmatycznego głosu: wysoki czterdziestolatek, bezpośredni w obyciu, ubrany w sweter i parę džinsów. I te oczy, czarne i błyszczące...

Zamieniliśmy może dwa słowa, a ja już widziałam siebie w sukni ślubnej.

I miałam rację, że zaufałam swojemu instynktowi, bo od tamtej chwili wydzwaniał do mnie pod byle pretekstem, aż w końcu z niezachwianą pewnością oznajmił, że zaprasza mnie na kolację.

No i tak się zaczęło, od numerów NIP i PESEL, przez upodobania muzyczne i kinowe, restauracje... Wreszcie się zgodziłam.

Spędziliśmy cudowny wieczór, zaśmiewając się jak dwójka nastolatków na pierwszej randce, a kiedy odprowadził mnie pod drzwi mojego domu, pocałował tak, że przeszło to moje najśmielsze wyobrażenia...

Ciepły, pełen pasji pocałunek, w którym można się zatracić. Taki sam jak jego głos.

Od tamtego wieczoru minęło sześć miesięcy.

Sześć miesięcy wypełnione słowami, romantycznymi telefonami i całą lawiną esemesów.

Tak, trochę w tym prawdy, że bardziej niż z nim jestem w związku z jego komórką, ale dzięki Bogu ktoś wymyślił telefony – gdyby moje szczęście miało zależeć od listonoszy, tobym dopiero miała pecha...

Był ze mną szczery i od razu powiedział mi o swojej żonie.

Okej, nigdy wcześniej nie zdarzyła mi się taka sytuacja, i nie napawa mnie to jakąś szczególną dumą, ale przecież każdego dnia miliardy par rozstają się, by wejść w nowe związki, i dlatego nie wydaje mi się to aż tak przerażające.

Nie jestem naiwną idiotką, za jaką uważają mnie Laura i Marta – zresztą, powtórzę, to ostatnie osoby, które mogą prawić mi kazania. Jestem tylko zakochaną dziewczyną, która czeka na swoją kolej.

Może nie najszcześniejsza to rola, ale innej nie mam.

Całuję jego zdjęcie na ekranie telefonu i przyciskam do serca, wyobrażając sobie, że Luca leży tuż obok mnie. I wreszcie udaje mi się zasnąć.

1 *Gossip Girl*, amerykański serial młodzieżowy (2007–2012).

2 Retsina – słodkie greckie wino aromatyzowane.

## Rozdział 2

Otwieram oczy. Żadnych nowych wiadomości, może jego żona naprawdę z nim była. Mam tylko nadzieję, że nie narobiłam mu kłopotów.

Daję jeść kotu i robię sobie śniadanie, ale jakoś straciłam apetyt; grzebię łyżką w miseczce z płatkami tak długo, aż zmieniają się w zawieszistą masę, która ląduje w koszu ze śmieciami.

Dlaczego jeszcze mi nie odpisał?

Zgodnie z moimi obliczeniami, wyszedł z domu już jakieś pół godziny temu, kupił po drodze gazetę i zdażył zjeść śniadanie w barze.

Czyżbym nawarzyła sobie piwa? Ale ze mnie idiotka... Chyba zwariowałam. Czemu nie poczekałam, aż dotrze do biura? Czy to było aż takie trudne? Dlaczego nie potrafię cierpliwie poczekać na właściwy moment?

Właśnie, à propos biura, jeśli się nie pospieszę, znowu się spóźnię.

Ubieram się w biegu, narzucam na siebie płaszcz i pędzę do samochodu.

W drodze sprawdzam telefon mniej więcej co czterdzieści trzy sekundy (razem dokładnie sześćdziesiąt dwa razy), ale to wszystko dlatego, że co chwilę zatrzymuje mnie czerwone światło.

Kupuję sobie kanapkę na obiad, bo wiem, że kiedy tylko przekroczę próg kancelarii, stanę się własnością mecenasa Borchiego, u którego pracuję od dziesięciu lat.

O matko, to już dziesięć lat?

Po magisterce z politologii zdawało mi się, że znalazłam sobie idealne zajęcie: pracę dorywczą, aby oszczędzić trochę pieniędzy na podróż do Australii i w międzyczasie szukać pracy mojego życia.

A później minęło trochę czasu, dzień za dniem.

Dokładnie trzy tysiące trzysta dni.

Mecenas Borchio wygląda jak ksero podstarzałego Roberta De Niro i oficjalnie jest najbardziej powściągliwym człowiekiem na świecie: mówi mało, osobiście dba o interesy wszystkich swoich klientów i wymaga absolutnej ciszy. Ale przynajmniej płaci za nadgodziny.

Tylko jedna dziewczyna jest tutaj dłużej ode mnie. To Agata, którą traktuję trochę jak moją mamę. Zwierzam się jej, a ona nigdy mnie nie osądza, w przeciwieństwie do moich „kochanych” przyjaciółek.

I to tyle, tak mniej więcej wygląda moje życie: kocham żonatego mężczyznę, na moim biurku piętrzy się sarta papierów, obgryzam paznokcie aż do krwi, mam nerwicę żołądka, całą masę zaległego urlopu i trzydzieści cztery lata.

Szczęściara ze mnie, co?

Mecenas Borchii przysuwa się bezszelestnie do mojego biurka – czasem się zastanawiam, czy ma pod spodem zainstalowane kółka – prosi mnie o akta jakiejś sprawy, przypomina o paru naglących terminach i dyktuje długą listę pilnych telefonów do wykonania.

Luca w dalszym ciągu nie daje znaku życia, a we mnie narasta niepokój, który ściska mi żołądek, gardło i sprawia, że nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Dopóki się nie odezwie, nie zdołam się uspokoić, dopóki nie zadzwoni, mój żołądek nie poluzuje tej obręczy. W sumie już się przyzwyczaiłam.

Nie mogę trzymać włączonej komórki na biurku w kancelarii, ale jeśli wsunę ją do kieszeni spodni, to na pewno poczuję wibracje i przeczytam esemesa w toalecie albo, o ile trochę się pogimnastykuję, pod stołem.

Często przynoszę ze sobą dwulitrową butelkę wody, żeby mieć pretekst do częstych wizyt w łazience, a kiedy mnie pytają, czemu tyle piję, wyjaśniam, że to pozwala uniknąć kamieni nerkowych.

Jestem geniuszem konspiracji!

Mimo że telefon uparcie milczy, chociaż co chwilę zerkam na ekran – w końcu mogłam się poruszyć i nic nie poczuć.

Usiłuję skoncentrować się na kodeksie postępowania cywilnego, ale gubię wątek po każdej linijce i wpadam w coraz większą panikę.

Coś mu się stało? Może miał wypadek? O Boże, ten jego zdezelowany samochód... Natychmiast muszę zadzwonić.

Telefonuję do jego biura. Odbiera po drugim sygnale.

– Cześć, skarbie, tu Bri.

Cisza.

– Cześć... – słyszę w końcu.

– Przeszkadzam ci?

– Nigdy mi nie przeszkadzasz. Co się dzieje?

– Nic, nie rozmawialiśmy od wczoraj, trochę się martwiłam.

– Czym się martwiłaś? Wszystko w porządku, sama wiesz, spokojnie...

Obręcz w żołądku zaczyna puszczać...

– Tęskniłam za tobą – mówię powoli.

– Ja za tobą też, kochanie, ale sama wiesz, że musimy uważać, twój wczorajszy esemes wydał mi się trochę ryzykowny. Na szczęście Nadia była jeszcze w łazience.

Przed oczami pojawia mi się niespodziewanie wykrzywiona w szyderczym uśmiechu twarz Marty.

– Wiem, ale napisałeś mi taką piękną wiadomość, chciałam... – Ton mojego

głosu brzmi nieco zbyt melodramatycznie.

– Tak, jasne, ale nie rób tego więcej, dobrze, moja słodka? Musisz być cierpliwa. Słuchaj, skoro już zadzwoniłaś, daj mi Borchiego do telefonu.

– Oczywiście, ale kiedy się zobaczymy?

– Porozmawiamy o tym później, teraz jestem strasznie zajęty, muszę złapać parę nadgodzin, wiesz, ten przekłety kredyt, ale przynajmniej w końcu będę cię mógł zabrać gdzieś na kolację.

– Ale z ciebie słodziak... Nie przejmuj się, naprawdę, nie trzeba, zostaniemy u mnie w domu, jak zwykle. Dobrze nam we dwójkę.

– Tak, tak, oddzwonię do ciebie za jakiś czas, daj mi teraz Borchiego do telefonu, muszę go zapytać o rozliczenie podatku dochodowego. Jeszcze opłata śmieciowa i te nowe podatki... Naprawdę nie mam pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzę.

– Spokojnie, kochany, damy radę. Do usłyszenia później, Kocham cię.

No i proszę, już czuję się lepiej – w sumie świetnie. Przez następne dwadzieścia cztery godziny mogę pracować na akord, skupiona jak Kasparow na turnieju szachowym i szybka jak koń wyścigowy na doping.

Miłość jest w stanie teleportować cię z piekła do raju jednym pstryknięciem. Sprawić, że jesteś ofiarą ataku paniki, wątpliwości i paranoi, a za sekundę wracasz do stanu perfekcyjnej harmonii i znów słyszysz świergot ptaków.

Najważniejsze to być tego świadomym.

– O, widzę, że słońko znowu wyszło zza chmury, co, Brigitta? – pyta Agata, nie odrywając oczu od komputera, kiedy przekraczam próg jej pokoju.

– Teraz tak, ale wcześniej myślałam, że zamartwię się na śmierć, nie odzywał się od wczoraj, a przecież zawsze rano, kiedy się obudzę, dostaję od niego wiadomość. To prawie tak, jakbyśmy jedli razem śniadanie... tylko wirtualne.

– Gdyby jeszcze zdecydował się zostawić żonę... – dodaje bez cienia ironii.

– To nie takie proste, bo mają przecież wspólny kredyt na mieszkanie, który on próbuje spłacić, ale z pensji urzędnika to niełatwe.

– Szkoda, że nie pomyślał o tym wcześniej.

– No tak, ale gdzie mieli się podziąć po ślubie bez mieszkania? Przyznaje, że trochę się pospieszył, ale jest człowiekiem starej daty – według niego mężczyzna powinien zadbać o wszystko. Nie mógł przewidzieć, że się poznamy i pokochamy.

– Borchi to jego krewny?

– Przyjaciół jego ojca. Zna go praktycznie od urodzenia.

Wiem, jak bardzo go to przytłacza. W tej chwili ma naprawdę spore problemy finansowe – dramat, który dotyka każdego, kto zdecyduje się na rozwód. Całe szczęście, że są bezdzietni, bo wtedy pewnie puściłaby go z torbami i musiałby zamieszkać w samochodzie.

Przez resztę dnia pracuję bez wytchnienia. Pozwalam sobie tylko na kilka



minut oddechu i zjedzenie kanapki, telefon do Marty i Laury oraz mejla do Luki z linkiem do gospodarstwa agroturystycznego w Umbrii, gdzie byłoby cudownie kiedyś się wybrać.

Później wyobrażam sobie naszą wspólną codzienność po jego rozwodzie. To prawda, musimy być cierpliwi, bo potrzeba jeszcze wiele czasu, ale wreszcie nadejdzie ten dzień i będziemy mogli cieszyć się naszą miłością w blasku słońca.

### Rozdział 3

Czekam na niego już pół godziny. Kolacja stygnie, a on utknął w korku.  
Cholerny pech.

W dodatku wpadnie tylko na chwilę, bo musi zdążyć do domu przed dziesiątą. W przeciwnym razie zebranie w pracy nie wystarczy jako alibi.

Pozytywny aspekt tej historii jest taki, że jeśli pewnego pięknego dnia wdałby się w jakiś romans, od razu bym go rozgryzła. Nagłe zebranie w biurze? Przebita opona? Kolega z pracy dostał zawału? Mamy cię, kolego, szast-prast!

To doprawdy niewiarygodne, że niektórym kobietom umyka oczywisty fakt, że są zdradzane! Chyba po prostu nie chcą tego wiedzieć, wolą się oszukiwać, aby za wszelką cenę uniknąć bólu rozstania.

Ale prędzej czy później biedna Nadia będzie musiała otworzyć oczy i stanąć przed faktem dokonanym.

W międzyczasie ryba z pieca zlała się w jedną całość z folią aluminiową, a wyschnięte na wiór ziemniaki się przypaliły.

I pomyśleć, że zrezygnowałam dzisiaj z zumby, żeby przygotować to wszystko.

Dzwoni telefon, a mnie serce skacze do gardła.

– Halo?

– Kochanie, przepraszam, nie dam jednak rady, utknąłem w korku na obwodnicy, był jakiś wypadek i wszystko stoi na odcinku siedmiu kilometrów. Dotarł-bym do ciebie gdzieś na jedenastą i miałbym później problemy.

– Pfff... – Głośno wypuszczam z siebie powietrze. – Ugotowałam kolację...

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jest mi przykro, może wpadnę później. Zobaczmy, jak się sytuacja rozwinie, nie mogę nic obiecać. Nie wyłączaj telefonu, dobrze? Zorientuję się i natychmiast do ciebie zadzwonię.

– Dobrze, będę czekać.

Wzdycham i wpatruję się w zdjęcie na wyświetlaczu.

Ile jeszcze takich wieczorów będę musiała znieść?

Ile razy będę musiała jeść samotnie zimną kolację w towarzystwie kucharzy z *MasterChefa*?

Usypia mnie kompulsywne skakanie po kanałach od *Randek online* po *Wstydlive choroby* i nie wiem, co gorsze: laska, która od siedmiu lat tkwi w wirtualnym związku z gościem, którego na oczy nie widziała, czy pani w średnim wieku, która wstydzi się swych ogromnych warg sromowych i pokazuje je w globalnej teleszmirze!

Budzę się już po jedenastej, a on wciąż milczy. Mam wrażenie, że telefon

wykrzywia się do mnie złośliwie.

Czyżby dalej stał w korku?

Powiedział, że zadzwoni, dlaczego tego nie zrobił? Mogłam w sumie dotrzymać mu towarzystwa w samochodzie...

A skoro wrócił do domu, to dlaczego nie dał mi znać?

Wystukuję esemesa na klawiaturze i kasuję kilka razy. Nie chcę wyjść na przesadnie zaniepokojoną, chociaż nie umiem znaleźć odpowiednio niezaniepokojonych słów, zwłaszcza że jestem potwornie zaniepokojona, i kiedy tak piszę, odzywa się znajomy dźwięk obwieszczający otrzymanie wiadomości.

Mam serce w gardle.

Otwieram.

*Przeszkadzam w magicznych chwilach u boku mężczyzny marzeń czy może masz ochotę wypłakać mi się w rękaw?*

Ta kretynka Marta! Dzwonię do niej.

- Stoi w korku na obwodnicy!
- W jakim mieście?
- W naszym, idiotko.
- Ja też jechałam obwodnicą. I wcale nie była zakorkowana.
- O której?
- Bo ja wiem? Między ósmą a dziewiątą.
- Ale on mi mówił, że korek ciągnie się przez siedem kilometrów.
- No to wezwij drogówkę, niech mu dowiozą wodę, ciepły koc i ciasteczka!
- Czy ty nie potrafisz być poważna choćby przez jedną minutę? – jęczę.
- Moja droga, żeby to chociaż były kwestie wymagające powagi.
- Więc gdzie on się podział? Wygląda na to, że wypadek zdarzył się później, już po twoim przejeździe.
- Zajrzyj do internetu. Jeśli coś się stało, z pewnością tam się dowiesz.
- Mmm... Nie chce mi się... Może do niego zadzwonię?
- Ja bym zadzwoniła.
- A jeśli jest z nią?
- To nie dzwoń!
- Kurde, Marta, w ogóle mi nie pomagasz!
- A co mam powiedzieć? Zadzwon do niego, nie dzwoń, wezwij autocasco, drogówkę albo zastęp psów ratowników! Przecież znasz moje zdanie. Nie podoba mi się twoje postępowanie i mam dość twoich monotematycznych gadek, zrobiłaś się upierdliwa, gadasz tylko o nim, wiecznie do niego wydzwaniasz i tylko o niego się zamartwiasz! Załóż mu elektroniczną bransoletkę, jak więźniom na zwolnieniu warunkowym, będziesz mogła go śledzić z GPS!
- A można tak zrobić?
- Brigitta, beznadziejny z ciebie przypadek, opętało cię, ja się poddam.

Dość! Oddzwonź do mnie, kiedy odzyskasz rozum. Dobranoc!

Rozłączam się i wzdycham.

To może do niego zadzwonię?

Esemeska przecież mogę wysłać, nie? Już prawie północ, pewnie dotarł już do domu.

*Kociaczk, dotarłeś na miejsce? Daj mi tylko znać. Kocham cię.*

I kiedy myję zęby, znów dobiega mnie triumfalne brzdęknięcie komórki.

*Jesteś moją gwiazdą polarną,*

*to ty prowadzisz mnie do*

*krainy szczęścia.*

Niesamowity jest. Ten facet jest niesamowity. Potrafi mnie uszczęśliwić za pomocą pięćdziesięciu dziewięciu liter.

Teraz mogę spać spokojnie.

Ale dwie godziny później jestem znowu czujna jak sowa.

Przyśnił mi się koszmar: Nadia owinęła Lucę całego wstążką do pakowania prezentów i musiał oddychać przez dwie słomki, które wystawały mu z dziurek w nosie. A kiedy ja przybyłam z odsieczą, dyrektor banku oznajmił, że muszę zapłacić sto pięćdziesiąt tysięcy euro, żeby spłacić kredyt.

Podświadomość potrafi czasem naprawdę nieźle dać w kość.

Ale przecież na pewno istnieje jakiś sposób. Właściwie ile on będzie jeszcze czekał, zanim postanowi się wyprowadzić? Trzydzieści lat? Coś mi się zdaje, że tyle nie wytrzymam.

Będę już miała menopauzę.

Jeśli Luca nie zacznie podejmować istotnych decyzji dotyczących naszej przyszłości, w końcu i ja będę musiała zapisać się na portal z randkami online, a jako że przeciętna długość życia kobiet znacznie przewyższa średnią życia mężczyzn, nie chciałabym w wieku sześćdziesięciu lat trafić na pogrzeb Luki razem z Nadią, która pewnie zaproponowałaby mi wspólne mieszkanie i wspólną spłatę kredytu.

Jeszcze mogłabym się na to zgodzić!

Jutro z nim porozmawiam, niech wyznaczy konkretną datę albo chociaż jakiś przybliżony, mglisty termin.

I z tym niezłomnym postanowieniem w głowie usypiam, aby już po chwili usłyszeć dzwonek wrednego budzika.

Jestem śmiertelnie zmęczona, zapowiada się bardzo długi dzień.

Kot miauczy tak rozpaczliwie, jakby nie jadł co najmniej od stu lat, a jego żalosne zawodzenie wierci mi dziurę w mózgu.

Czytam wiadomość na dzień dobry od Luki:

*Całą noc się do ciebie tuliłem, kochanie*

*moje. Cudownie pachniesz. Tak bardzo*

*chciałbym się z Tobą kochać...*

Prawie się zakrztusiłam kornflekssem!

*Ja też umieram z pragnienia, już tyle*

*dni minęło i tęsknię za tobą strasz...*

Zanim kończę zdanie, przychodzi kolejny esemes:

*Co masz na sobie?*

*Teraz?*

Jestem zakłopotana.

– Tak... Teraz – mówi, a dźwięk jego głosu sprawia, że bulgocze mi krew w żyłach.

– Nigdy rano nie dzwonisz! – Nie kryję zdumienia.

– Nie mogłem się powstrzymać. No mów, w co jesteś ubrana?

– Ehm... Mam na sobie czarne spodnie i ciemnozieloną koszulę.

– Mhm, czyli strój surowej pani nauczycielki! Masz też linijkę, żeby mnie ukarać?

O, coś nowego... Na mojej twarzy pojawia się wyraz lekkiej konsternacji, opieram się o lodówkę z kartonem mleka w ręce, zastanawiając się, jak zareagować.

– A może wolałabyś podeptać mnie nieco w bucikach na wysokim obcasie?

– W bucikach... na obcasie? – powtarzam, zerkając na moje antypoślizgowe skarpetki. – Tak, znaczy, jasne, podepczę cię... Jeśli chcesz, mogę chodzić po twoim kręgosłupie – improwizuję.

– Taaak... – mruczy podniecony. – Tak, chcę tego, wbij mi obcasy w żywe mięso i zadaj mi ból, mocno, aż do krwi...

Przełykam ślinę.

– Ty... Ty tak lubisz? – Udaję, że gaszę papierosa skarpetką. Jestem totalnie skołowana.

– Tak... Lubię, ale musi boleć, mocno, jeszcze... A teraz ściśnij mi sutki...

O Boże, jeszcze sutki? Jak niby mam to zrobić?

– Dobrze... Ściskam ci je z całych sił... – mamroczę. – Podoba ci się?

– Mocniej... gryź!

Kto by pomyślał...

– Okej, gryzę twoje sutki... – Zastanawiam się, czy dla lepszego efektu nie powinnam wbić zębów w ciastko.

Chyba w ogóle za dużo się zastanawiam.

– Cudownie... Właśnie tak... Jesteś niedobrą, okrutną panią nauczycielką... A teraz mnie drap, drap mnie tymi swoimi długimi paznokciami, wbij je w moją skórę.

Odruchowo spoglądam na ręce – paznokcie mam czerwone i tak krótkie, że nie przebiłyby nawet bańki mydlanej.

Spełniam polecenie i drapię się po udzie.

– Podnieca cię to? – Moduluję głos, żeby brzmiał nisko i zmysłowo.

– Tak, doprowadzasz mnie do szaleństwa, jesteś cudowna, nie przestawaj, och, taaaaak, jeszcze, gryź mnie, mocno! Mocniej! Jeszcze! Cudownie! Zaraz dojdę, tak, już dochodzę... o Boże, tak... o Boże! Jesteś cudowna, cudowna, cudooownaaaa...

Nie wiem, czy sapać razem z nim, czy zapytać, czy potrzebuje chusteczki, czy może odpalić mu papierosa.

Na szczęście wybawia mnie z kłopotu.

– To było wspaniałe, Bri, wspaniałe, tobie też się podobało? – pyta zupełnie rozluźniony, jakby siedział nad brzegiem basenu.

Wciąż jestem odrobinę zdezorientowana, ale usiłuję odnaleźć się w nowej roli.

– Bardzo! Nie mogę się doczekać, kiedy to powtórzymy! – zapewniam i rzucam okiem na zegarek, a wtedy przekonuję się, że jestem skandalicznie spóźniona.

– Nie wiedziałem, że i ty fantazjujesz na ten temat. Czemu wcześniej mi nie powiedziałaś? Podobasz mi się taka, mała świntuszko!

– Ech... No tak, pewnie dlatego że... tak rzadko się widzimy... – odpowiadam, nakładając buty.

– Masz rację, to moja wina, i musimy temu jakoś zaradzić. Może później znowu troszkę pofiglujemy!

W dalszym ciągu nie wierzę w to, co się stało, wiem tylko, że jeśli się nie pospieszę, Borchy przespaceruje się po moim kręgosłupie... w rolkach!

Z prędkością światła narzucam na siebie płaszcz i strącam pudełko z kocimi chrupkami na podłogę, w nadziei, że głód pobudza kreatywność.

Już od tygodnia codziennie się spóźniam, a spóźnialskich Borchy darzy bezbrzeżną pogardą.

Co tchu wybiegam na ulicę i pędzę w stronę parkingu. W mojej głowie wciąż rozbrzmiewa ta absurdalna rozmowa. Po raz pierwszy w życiu uprawiałam seks przez telefon, ale cóż – w końcu każdego ma prawo podniecać co innego.

Mój były podniecał się wyłącznie w toaletach w restauracji... Teraz przynajmniej nie muszę jeść kolacji na mieście trzy razy w tygodniu.

Nie moja wina, że przy Luce czuję się jak oszołomiona szesnastolatka. Chyba kupię sobie sekretny pamiętniczek i cały boży dzień będę rysowała w nim serduszka z naszymi inicjałami.

Parkuję przed biurem i sięgam do torebki po telefon, żeby wyłączyć dźwięk, ale... o Jezu, nie, niemożliwe, jak to się stało... miałam go w ręce, a potem... gdzie

go zostawiłam? Na lodówce! A jeśli Luca zadzwoni, a ja nie odbiorę? I to teraz, kiedy zdołałam go zaskoczyć moimi nowymi umiejętnościami rodem z sekstelefonu. Muszę wrócić do domu, jeśli teraz wejdę do kancelarii, to już mnie nie wypuszczą.

Zawracam o sto osiemdziesiąt stopni i ruszam na czwartym biegu, po drodze przejeżdżam dwa razy na czerwonym, a raz zahaczam jednym kołem o chodnik.

Zostawiam samochód na miejscu dla inwalidów i lecę po schodach, bo winda jest zajęta. Otwieram drzwi z wywalonym ozorem, biegnę do kuchni i znajduję telefon dokładnie tam, gdzie go zostawiłam.

Próbuję uspokoić oddech i spoglądam na aparat, potrząsając głową z dezaprobatą, jakby to on sam, z własnej woli, postanowił zostać w domu.

– Jesteś niezdolny, wiesz o tym? – mówię z wyrzutem.

Już mam wychodzić, ale dociera do mnie, że w pośpiechu zostawiłam otwarte na oścież drzwi i kot w międzyczasie czmychnął na zewnątrz.

Doskonale! No i gdzie on przepadł? Wdrapuję się po schodach na ostatnie piętro, ale go nie widzę, wracam na dół i nawołuję. Wszystko na nic.

Nie mam czasu kontynuować poszukiwań w piwnicy, przypomni sobie o mnie, kiedy zgłodnieje. Ale jeśli mnie zwolnią, oboje będziemy głodować.

Kuśtykam ostentacyjnie w stronę samochodu, żeby usprawiedliwić jakoś swoje barbarzyńskie parkowanie i pryskam z miejsca przestępstwa w stronę centrum, tyle że o tej godzinie powstał już potworny korek.

Czy ta banda strajkujących idiotów naprawdę musiała zablokować miasto właśnie teraz? Weźcie się lepiej do roboty!

Jestem spóźniona prawie godzinę. Dzwonię do Agaty, ale odbiera mecenas Borch. Tego jeszcze brakowało...

– Dzień dobry, mecenasie, z tej strony Brigitta – bełkoczę. – Bardzo przepraszam, wypadło mi coś niespodziewanego z samego rana... Za chwilę będę.

Tak, niespodziewanie wypadł mi sekstelefon...

Wzdycha. Wyobrażam sobie, jak marszczy czoło, poddając surowej ocenie moje oburzająco niestosowne zachowanie.

– Proszę zatem, aby została pani po godzinach.

– Ależ oczywiście, nie ma żadnego problemu, absolutnie... Do zobaczenia za chwilę.

Godzina spóźnienia, pełne dezaprobaty spojrzenia i nieodpłatne nadgodziny, a wszystko to przy akompaniamencie nierealnej ciszy, w której, jak zawsze, pogrążona jest cała kancelaria.

Kiedy rozlega się dzwonek telefonu (tryb dyskretny), mam ochotę rzucić się na niego całym ciałem, żeby wytłumić ten dźwięk.

Agata nie odezwała się do mnie ani słowem, od kiedy weszłam do biura. Obrażona czy co?

– Przepraszam za spóźnienie, zatrzymało mnie coś ważnego. Jesteś zła? –  
Kładę sobie rękę na sercu i zdobywam się na mój najlepszy uśmiech.

– Borchi strasznie się wściekł dzisiaj z rana, i mnie też się oberwało. Musisz bardziej uważać, ostatnio często się spóźniasz – szepce, wychylając się zza biurka.

Prędeż czy później będziemy musiały opanować język migowy.

– Masz rację, ale z drugiej strony pracuję tu od dziesięciu lat i byłam na czas każdego dnia, więc nie popadajmy w przesadę.

– Powiedziałaś mi, że utknęłaś w kolejkę na poczcie, a potem zadzwoniłaś i dostałam po nosie, że cię kryję.

– Przykro mi, ale co miałam robić? Uciekł mi kot, kiedy szukałam w domu telefonu.

– Spóźniłaś się przez komórkę? – Unosi pytająco brwi.

– W sumie... tak – przyznaję i trochę się za siebie wstydzę.

– Udam, że nie słyszałam. Czyś ty zwariowała?

– Nie, byłam już przed biurem, ale zorientowałam się, że nie wzięłam telefonu, więc pojechałam po niego do domu. – W tej samej chwili zaczynam żałować swojego wyznania.

Ona wytrzeszcza na mnie oczy, wyraźnie wstrząśnięta.

– No, przestań, Agata, nigdy ci się to nie przytrafiło?

– Szczerze mówiąc, nie! A nawet jeśli... Zaraz, wróciłaś po telefon, żeby Luca mógł się z tobą skontaktować?

– Nie, wcale nie chodzi wyłącznie o niego – kłamię. – Przecież mogła dzwonić moja matka, a poza tym mówiłam ci, że uciekł mi kot, więc sąsiedzi pewnie dadzą mi znać.

Agata mierzy mnie wzrokiem matki patrzącej na dziecko, które właśnie wróciło z placu zabaw, ale opowiada, jak było dzisiaj w szkole.

– Przecież mówiłaś, że kot uciekł, kiedy wróciłaś po telefon... A teraz wciskasz mi kit bez mrugnięcia okiem? Trochę się na tobie zawiodłam, wiesz? Traktuję cię jak córkę, a własnej córce nie pozwoliłabym robić takich głupot.

– Masz rację, przepraszam, już więcej nie będę.

– To nie mnie powinnaś przepraszać, tylko siebie samą. To siebie najbardziej oszukujesz.

– W jakim sensie oszukuję? – pytam zaskoczona.

Po raz pierwszy widzę ją tak bardzo wzburzoną.

– Bardzo cię lubię i nie zamierzać beczynnie patrzeć, jak tracisz czas na gonienie za żonatym facetem – wyrzuca z siebie, lecz szybko się opanowuje. – Przepraszam, wiem, że to nie moja sprawa.

Jej słowa wprawiają mnie w lekkie zakłopotanie – takie zarzuty z ust starszej kobiety brzmią zupełnie inaczej niż niekończące się docinki ze strony przyjaciółek.

– Postanowiłam z nim poważnie porozmawiać – wyznaję z opuszczoną



głową. – Chcę usłyszeć, jakie ma wobec nas plany, a jeśli nie dostanę jasnej odpowiedzi, przycisnę go jeszcze bardziej.

– Słusznie, należy ci się szacunek.

W tym momencie do pokoju wchodzi mecenas Borchy z plikiem dokumentów Luki. Spogląda na mnie, jakby chciał o coś zapytać, ale po chwili zmienia zdanie i wycofuje się do swojego gabinetu.

Mam nadzieję, że udało mu się wymyślić jakieś rozwiązanie dla mojego splukanego ukochanego, do którego dzwonię kilka sekund później.

– Hej, cześć, skarbie! – wykrzykuję beztrzesko, przypominając sobie nasze poranne figle. – Wszystko gra?

– W porządeczku! – odpowiada radośnie. – Słuchaj... Skoro wczoraj nawaliłem... Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór?

– Są urodziny Laury, idziemy razem na kolację.

– Ach, tak? Szkoda, bo Nadia wyjechała na zjazd ekologów i... mogę zostać u ciebie na noc, żeby cię jakoś udobruchać za wczoraj!

– Zostać u mnie na noc?

Mój mózg pracuje na zbyt wysokich obrotach, mam wrażenie, jakby ktoś włączył mi tuż przed nosem wielkie turbiny wiatrowe, i tracę zdolność racjonalnego myślenia.

Nie wierzę własnym uszom, czeka nas cudowny wieczór, a on na całą noc zostanie u mnie, nie mogę odmówić, bo przecież nie wiadomo, kiedy znowu powtórzy się taka okazja.

Marta i Laura na pewno zrozumieją, a jeśli nie, to wykreślą mnie z listy przyjaciółek raz na zawsze.

– Nie ma najmniejszego problemu, odwołam dzisiejszy wypad z dziewczynami – oznajmiam z przekonaniem. – Chcę z tobą porozmawiać o czymś ważnym.

– Oczywiście, będę u ciebie koło ósmej trzydzieści.

– Cudownie, już nie mogę się doczekać, kochanie.

– Dasz mi Borchiego do telefonu? Wybacz, wysłał mi mejla, a ja nie rozumiem kilku kwestii.

– Chętnie pomogę. Wiesz, trochę już się na tym znam...

– Ach, nie przeszkadzaj sobie... Poza tym wiesz, że on woli osobiście zajmować się moimi sprawami, nie chcę, byś miała przeze mnie problemy.

Rozłączam się rozpromieniona i przejęta jednocześnie.

Po pierwsze, muszę zrobić sobie włos.

Odpowiednia bielizna, to po drugie.

Pozostaje pytanie, o której godzinie stąd wyjdę, jako że punkt pierwszy i drugi to sprawy niecierpiące zwłoki.

W pytającym wzroku Agaty dostrzegam obawę.

– Wszystko w porządku! – zapewniam ją. – Zaprosił mnie na kolację dzisiaj wieczorem!

– Ach, cieszę się – odpowiada z entuzjazmem matka patrzącej, jak jej dziecko po raz pierwszy wsiada na skuter. – Pamiętaj, porozmawiaj z nim. Musisz wyjaśnić waszą sytuację. Dość tych niedomówień!

Agata potrafi mnie rozczulić jak nikt inny. Może to dlatego, że moja rodzona matka nie przepuści żadnej okazji, by mnie skrytykować i przypomnieć, że marnuję sobie życie (a nawet nie ma pojęcia o moim grzesznym związku!). A to wszystko dlatego, że wciąż nie wyszłam za mąż i nie urodziłam czwórki dzieci, jak moja siostra.

Bardzo bym chciała wiedzieć, kto zdecydował o tym, że kobietę uznaje się za spełnioną tylko u boku męża i gromadki dzieci albo na stanowisku pełnomocnika zarządu wielkiej firmy, ewentualnie kiedy dorobi się własnego programu w telewizji.

Istnieje przecież milion innych małych i większych radości, które dają satysfakcję w życiu i nie mają nic wspólnego z tymi głupimi stereotypami.

Wszystko w swoim czasie. Każdy sam wybiera swoją drogę.

Czy nie lepiej jest walczyć o to, czego się naprawdę chce, niż zadowolić się pierwszym ochłapem rzuconym przez los?

Moja matka wyszła za mąż w wieku dwudziestu trzech lat, a mój ojciec był jej pierwszym i jedynym narzeczonym. Dziś, jeśli decydujesz się na ślub w tym wieku, od razu dzwonią po kuratora i ekipę z MTV, żeby nakręcić o tobie reality show.

Mam dość nieustannej krytyki wszystkich dookoła, zwłaszcza tych, których życie wcale nie jest lepsze od mojego, lecz przekonanych, że wiedzą, co dla mnie najlepsze.

Sama wiem, co jest dla mnie dobre, a co nie jest.

Cieszę się, że mam Lucę, cieszę się na myśl o naszym wspólnym, przyszłym życiu. A co do reszty – pożyjemy, zobaczymy.

Teraz muszę tylko znaleźć jakąś wymówkę, żeby wymigać się od imprezy Laury.

## Rozdział 4

Wpół do siódmej pakuję swoje rzeczy i zbieram się do wyjścia, ale mecenas Borchy zatrzymuje mnie w drzwiach z imponującym stosem PIT-ów w ręce.

– Miała pani odrobić spóźnienie i zostać dłużej – wytyka mi z irytacją. – Proszę to jak najszybciej wypełnić, dziś rano przyszła pani do pracy po dziesiątej trzydzieści, o ile dobrze pamiętam.

– Mecenasiu, błagam pana, przysięgam, że jutro rano będę w biurze o siódmej trzydzieści i ze wszystkim się uporam, ale nie dzisiaj, mam coś niecierpiącego zwłoki do załatwienia – jęczę, jakbym prosiła własnych rodziców o pozwolenie na wyjście na dyskotekę w niedzielę wieczorem.

– Jutro będzie za późno, nie możemy narażać się na płacenie odsetek przez nasze zaniechanie. Niech pani będzie tak uprzejma i zostanie przynajmniej z godzinę, a jutro tak czy inaczej proszę przyjść przed ósmą.

Oddała się z cichym szelestem, jakby odjeżdżał na ruchomym chodniku.

Jak on to robi? Czary jakieś czy co? Patrzę na stos PIT-ów, które położył przede mną na stole, i myślę sobie... A PIT-olić to wszystko!

Za nic w świecie nie zdążę się wyszykować. I to akurat dzisiaj wieczorem.

Jestem zdenerwowana i wiem, że w tym stanie tylko narobię błędów.

Agata przed wyjściem życzy mi powodzenia. Dziękuję ze skrzyżowanymi palcami.

Z prędkością światła wypełniam dokumenty, ledwo sprawdzając, czy mają jakikolwiek sens, i za kwadrans ósma biegnę do łazienki się przygotować.

Otwieram szafkę i wyciągam piankę do golenia oraz maszynkę, której używa Borchy, kiedy nie zdąży zająć do domu przed biznesową kolacją.

Ściągam rajstopy i jedną ręką nakładam piankę na nogi, drugą zaś usiłuję wyczarować na twarzy perfekcyjny makijaż, zużywając połowę próbki podkładu, który rozsmarowuję na starej warstwie.

Dzisiejszy wieczór musi być wyjątkowy, tak wyjątkowy, żeby Luca się przekonał, że musi zostawić żonę. Najlepiej już jutro rano przy śniadaniu.

– Chcesz kawy?

– Nie, chcę rozwodu!

Łapię za maszynkę, opieram nogę o krawędź umywalki i golę nogi w maksymalnym skupieniu, by jak najmniej się pozacinać. Nagle drzwi łazienki otwierają się na oścież, a Borchy potrzebuje kilku sekund, by mnie rozpoznać i przybrać przerażony wyraz twarzy.

Wrzeszczymy jak dwa spanikowane minionki, po czym odwraca się na pięcie i chowa się w swoim gabinecie.

Przerywam zabieg w połowie, ścieram piankę papierem toaletowym i biegnę za nim, żeby się usprawiedliwić. Brakowało mu jeszcze takiej traumy, jest takim bigotem, że pewnie sika z zamkniętymi oczami, bo sam siebie się wstydzi.

Pukam cichutko.

Na ile go znam, pewnie będzie udawał, że rozmawia przez telefon.

– Rozmawiam przez telefon! – krzyczy zza drzwi: wyobrażam sobie, że schował się pod biurkiem, żeby mnie nie widzieć.

– Wobec tego ja już pójdę, mecenasie, do jutra... będę rano... Ekhm... Proszę mi wybaczyć, odkupię panu piankę... i maszynkę...

Wreszcie udaje mi się dotrzeć do domu, gdzie naprędce myję sobie pachy i zęby, wkładam czystą koszulę, czarne spodnie, moje najseksowniejsze buty i kwadrans po ósmej jestem gotowa.

Spocona jak szczur, ale gotowa.

I wtedy niespodziewanie dopada mnie uczucie, że zapomniałam o czymś ważnym.

O Boże, mój kot!

Biegiem dopadam drzwi sąsiadki. Mówi mi, że nikt go nie widział. Pozostali potwierdzają jej wersję.

Schodzę do piwnicy i nawołuję. Na próżno. Uważnie rozglądam się po wilgotnym i źle oświetlonym korytarzu – w głębi, ponad jakimiś skrzynkami nie domyka się okienko, przez które mógł nawiać.

Okno wychodzi na działki. Czy kiedyś do mnie wróci?

Zrobiło się już bardzo późno, być może dzwonił Luca, a ja nie słyszałam.

Wracam do domu, jest już po wpół do ósmej, pewnie szuka miejsca parkingowego.

Za kwadrans dziewiąta zaczynam się niepokoić. Ściskam telefon kurczowo w ręce i zastanawiam się, czy do niego zadzwonić, czy jeszcze chwilę poczekać. W końcu wysłałam mu wiadomość.

*Wszystko w porządku? Jedziesz już?*

Nie odpisuje, aż wreszcie, po kolejnych dziesięciu minutach...

*Megakłótnia z Nadią, spóźnię się, czekaj na mnie.*

Może kłóca się o mnie, może się rozstać, może właśnie jej o nas mówi, może zjawi się tu z butelką szampana i będziemy świętować naszą wolność...

Oby.

Telefon odzywa się niespodziewanie.

To Laura.

Kurwa, jej urodziny, na śmierć zapomniałam!

Odbieram omdlewającym głosem.

– Jesteś jeszcze w domu? Wszyscy na ciebie czekamy! Co się dzieje?

– Laura, wybac, przysnęło mi się, wzięłam dwie nospy, zdycham, dostałam

okres, bardzo mi przykro, myślałam, że mi przejdzie, ale nie dam rady wyjść z domu.

– Nie możesz mi tego zrobić, są moje urodziny, zawsze byłaś honorowym gościem, wpadnij chociaż na tort.

– Naprawdę nie czuję się dobrze, głowa mi pęka. Zrobię sobie kakao i kładę się do łóżka.

– Biedna kluseczko, naprawdę aż tak źle się czujesz? Przykro mi. Potrzebujesz czegoś? Zajrzę do ciebie po kolacji.

– Nie! – protestuję nieco zbyt gwałtownie. – Dziękuję, zdrzemnę się. Jutro do ciebie zadzwonię.

– Chyba nie jesteś umówiona z tym, jak mu tam, co? – Marta, już wstawiona, łapie za telefon i bełkocze mi do ucha.

– Nie, kochana, uwierz mi tym razem – zapewniam, siląc się na pewność w głosie, żeby nie dać jej powodów do satysfakcji.

– Wieczorem do ciebie wpadnę i sprawdzę.

Wiem, że jest do tego zdolna.

– Możesz pukać i dzwonić, i tak ci nie otworzę.

Okej, jedno z głowy, teraz nie pozostaje mi nic innego, jak czekać na Lucę.

Siadam na kanapie i nie odrywam wzroku od zegarka na wyświetlaczu komórki.

– No już, pospiesz się, dawaj, szybciej – zaklinam telefon, jakby mógł coś zrobić.

Mija kolejne pół godziny, w telewizji leci wieczorny blok programów, a ja jestem głodna i zaczynam wpadać w histerię.

Obgryzam paznokcie prawie do krwi, po czym sięgam po paczkę orzeszków, pamiętkę po jakiejś podróży pociągiem.

Za kwadrans dziesiąta jestem oficjalnie wkurwiona.

Dzwonię do niego, rozlega się sygnał połączenia, ale on nie odbiera.

Co to ma znaczyć? Że przygniótł ich kryształowy żyrandol jak w *Wojnie państwa Rose*? A może ona właśnie rąbie jego zwłoki na kawałki i upycha je w komodzie albo on właśnie topi ją w wannie?

Powinam zadzwonić pod sto dwanaście?

Trzeba było iść na urodziny Laury.

O dziesiątej dwadzieścia odzywa się telefon.

– Gwiazdko, strasznie cię przepraszam, potworna kłótnia, nie jesteś sobie w stanie wyobrazić.

– Ojej, biedaku – odpowiadam i czuję się winna, że tak źle o nim myślałam.

– Przyjedź, zrobię ci coś do jedzenia i wszystko mi opowiesz!

– Nie mogę, mam wybity bark... Rzuciła we mnie wazonem, a Nadia zawsze była dobra w koszykówkę. Mierzyła w głowę, w ostatniej chwili się uchyliłem!

– Nie ruszaj się, już do ciebie jadę!  
– Nie! – wrzeszczy. – Nie martw się o mnie, łyknę aspirynę i mi przejdzie, przenocuję u znajomego i jutro do ciebie wpadnę, wreszcie spędzimy razem trochę czasu.

– Luca, bardzo się o ciebie martwię – mamroczę.  
– Jestem zdruzgotany... Nie wiesz nawet, jak bardzo mi przykro... Tak strasznie za tobą tęsknię...

– Nie możesz przyjechać do mnie na noc?  
– To zbyt ryzykowne, jeśli później zadzwoni do domu i mnie nie zastanie, na pewno nabierze podejrzeń.

– Hm... Wiesz, ja tak dłużej nie dam rady – skarżę się. – Ja też jestem częścią twojego życia, nie zapominaj o tym.

– Pamiętam o tym w każdej sekundzie, przez cały dzień. Bri, jesteś dla mnie najważniejsza, jesteś najpiękniejszym prezentem, który dostałem od losu. Musisz być tego pewna, rozumiesz? Powtórz.

– Jestem pewna – odpowiadam ze średnim przekonaniem.

– Powtórz jeszcze raz.

– Jestem tego pewna.

– Dobrze, małeńka, słuchaj... Masz jakiś pasek?

– Pasek?

– Ze sprzączką!

– Chyba mam, ale co mam z nim zrobić?

– Przynieś go!

Idę do sypialni i otwieram pierwszą szufladę.

– Jest – mówię mu, pobrzękując sprzączką do słuchawki.

– A teraz zwiąż mi ręce i zbij mnie mocno! – prosi.

No i masz, znowu...

Czy on przypadkiem nie miał wybitego barku?

– Jak sobie życzysz. Teraz związałam ci ręce z tyłu i leżysz na brzuchu – oznajmiam mu władczym tonem.

– Wychłostaj mnie!

Wychłostać go? Rozglądam się dookoła. Niby skąd wezmę pejcz?

Biegnę do lodówki i wyciągam pora, którego kupiłam, żeby ugotować zupę.

– Podoba ci się? Wystarczająco mocno? – pytam, waląc niewinnym warzywem o stół w kuchni.

– Tak, cudownie, nie przestawaj, jeszcze mocniej, bij tak, żebym miał siniaki...

Biczuję stół porem przez kolejne dwie minuty, aż wreszcie słyszę, że skończył.

– Kochana Bri, jesteś kobietą, na którą czekałem całe życie, przysięgam, że

jutro się zobaczymy.

Rozłączam się i szlocham, dopóki nie słyszę dźwięku wiadomości, która zaczyna się tak:

*Przyjdę i pochwycę cię w ramiona...*

I znów rozpływam się jak sopelek lodu na słońcu.

## Rozdział 5

– Co on ci za bzdury nawypisywał? Nie, czekaj, sorry, przeczytaj jeszcze raz – wrzeszczy Marta prosto do mojego ucha.

– Ciszej, jestem w biurze i potwornie boli mnie głowa.

To prawda, a w dodatku zapomniałam stawić się w pracy bladym świtem i w związku z tym muszę mieć się na baczności. Dlatego rozmawiam przez telefon zamknięta w łazience.

Na klucz, tym razem.

– To tekst z jednej piosenki, prześliczny... Na przykład: *będę jak wiatr, który w sobie masz*, czyż to nie romantyczne?

– W ogóle o co chodzi z tym wiatrem? Cierpisz na wzdęcia? – I rechoże jak wariatka.

– To kawałek Tiziana Ferro!

– A więc cóż on chciał ci powiedzieć... za pomocą tej piosenki?

– No przecież to jasne! Że zdaje sobie sprawę, jak bardzo jestem dla niego ważna, że wie, jak cierpię, i że musimy cierpliwie czekać, ale on w końcu weźmie sprawy w swoje ręce i udowodni mi, jak wielka jest jego miłość!

– I niby gdzie to napisał?

– *Kiedy już będziesz w moich rękach, miłosna rozpocznie się udręka.*

– To brzmi jak cytat z Kuby Rozpruwacza! Chociaż tyle, że nie przepisał ci chińskiej wróżby w stylu *I Ching*: „Krowa patrzy na zachód, tam, gdzie strumień rosy”. Co pewnie by oznaczało, że wkrótce zostawi żonę...

– Zastanawiam się, czemu tracę czas na rozmowę z tobą – cedzę przez zęby.

– Bo ze mną masz więcej zabawy niż z Laurą, która zawsze przyznaje ci rację i płacze razem z tobą. Wiesz co? W sumie, to mogłabyś do niej zadzwonić i przeczytać jej te wiadomości. Wtedy usłyszysz magiczne rady, które cię przekonają, że warto dalej brnąć w to szaleństwo.

Już mam to zrobić, ale Agata puka do drzwi.

– Brigitta, wszystko w porządku? Siedzisz tam już od kwadransa... Idę coś zjeść do baru na dole. – I dodaje ciszej: – Borchy cię szukał.

W ciągu jednej nanosekundy jestem na zewnątrz.

Mecenas Borchy grzebie w papierach na moim biurku.

– Uporządkowała pani PIT-y, jak prosiłem? A formularze z podatkiem dochodowym dla Boldriniego i Olmiego? Roczne rozliczenie VAT-u, do systemu Intrastat, do ZUS-u?

– Intrastat... O tym zapomniałam. Już zabieram się do roboty.

Borchy z rozpaczą potrząsa głową, jakby właśnie się dowiedział, że został mu



miesiąc życia.

– Nie, tak dłużej być nie może, jest pani niedokładna, roztargniona i niesłowna. W naszej pracy nie możemy pozwolić sobie na podobną bez troskę. Powinna pani chyba zrobić sobie przerwę.

– Ależ mecenasie, od dziesięciu lat dla pana pracuję i nigdy nie popełniłam żadnego błędu. Przyznaję, że ostatnio jestem nieco zmęczona...

– Ta praca wymaga precyzji i pani doskonale o tym wie. Jeden błąd w kwestiach podatkowych może mieć konsekwencje, których nie jest pani sobie nawet w stanie wyobrazić – odpowiada poirytowany. – Jeżeli pani sobie z tym nie radzi, proszę mnie bezzwłocznie uprzedzić – z tymi słowami znika w swoim gabinecie.

To niesprawiedliwe, czuję się naprawdę podle...

Tak bardzo bym chciała choć raz być po właściwej stronie barykady. Tak bardzo bym chciała być tą, która dyryguje ludźmi, wydaje polecenia i sztorcuje innych na prawo i lewo. Ale to na mnie każdego dnia spadają ciężki i pół życia spędzam na przepraszaniu.

Czy to aby nie jest wbrew prawom natury?

Pracujesz jak niewolnik, poświęcasz swoje ideały, by co miesiąc pobierać głodową pensję, zawsze czujna jak rekrut na służbie, a kiedy raz się pomylisz, już na zawsze przykleją ci etykietkę nieudacznika.

To przecież bez sensu – poniżają cię, bo nie wypełniłaś jednego świstka, i zapominają o latach perfekcyjnie wypełnionych świstków, wpędzają cię w poczucie winy, jakby to naprawdę był koniec świata!

Nie jestem robotem, tylko istotą ludzką i nie pozwolę się w ten sposób traktować!

Wszystko na nic, świat dzieli się na generałów i zwykłych szeregowców, a generałem trzeba się urodzić.

My, szeregowcy, jesteśmy przynajmniej sympatyczni. Generałowie są wiecznie wkurzeni i nigdy się nie uśmiechają.

## Rozdział 6

W domu zastanawiam się, co ja właściwie zamierzam powiedzieć Luce.

Wypisuję wszystko na kartce papieru, żeby jak najlepiej przygotować się do przemowy.

Zaczę tak...

*Wiesz, skarbie, na początku tylko mi się podobałeś, nic więcej, nie sądziłam, że nasza znajomość przerodzi się w coś poważnego. Prawdę mówiąc, kiedy Cię spotkałam w kancelarii ~~uznałam cię za zarozumiiałego dupka~~, najpierw rzuciła mi się w oczy Twoja pewność siebie, ale wyglądałeś tak świetnie, że zmiękły mi kolana.*

*Coś w środku szeptało mi, że nie jesteś w moim typie, ~~że strasznie się nadymasz~~, zwłaszcza kiedy nazywałeś mnie Benedetta. A później, kiedy pierwszy raz wyszliśmy razem i zwierzyłeś się mi ze swojej sytuacji, uwierz, moje przyjaciółki próbowałam natychmiast wybić sobie Ciebie z głowy – nigdy nie chciałam pakować się w romans z żonatym mężczyzną, lecz chociaż robiłam, co mogłam, nie dałam rady. Myślałam o Tobie coraz częściej i bardzo za tobą tęskniłam, podbiłeś moje serce i musiałam się poddać.*

*Problem polega na tym, że moje początkowo niewielkie zaangażowanie w jednej chwili przekształciło się w miazdzące uczucie i teraz ~~czuję się naprawdę jak gówno~~ jestem więźniem naszej miłości.*

*Chcę normalnego życia u Twego boku, chcę wziąć z Tobą ślub, mieć dzieci, dom, wyjechać na wakacje, rozumiesz? Nie mogę już dłużej dzielić się Tobą z tą zdziwą Nadią.*

*~~Chcę~~ ~~Żądam~~ ~~Wymagam~~ Chciałabym wiedzieć, kiedy zamierzasz od niej odejść, czy naprawdę mnie kochasz i jestem najważniejszą rzeczą w twoim życiu, jak mówisz, bo czuję, że już dłużej nie dam rady.*

*Wyobrażasz sobie, że będziemy mogli cieszyć się naszą miłością w świetle dnia? Przeprowadzisz się do mnie i wreszcie się od niej wyniesiesz. Będiesz szczęśliwy. W końcu, nie możesz obwiniać się za miłość, którą do mnie czujesz. To naturalna część życia, więc zostaw ją jak najszybciej proszę cię, byś niezwłocznie podjął decyzję.*

Plan, że mucha nie siada.

Teraz wystarczy poczekać, aż się zjawi, a w międzyczasie trochę poćwiczę przed lustrem. Cholera, czuję się jakoś dziwnie – ból głowy jest trzy razy silniejszy, a teraz mam w dodatku dreszcze i bolą mnie wszystkie kości.

Mierzę temperaturę. Prawie trzydzieści osiem.

Naprawdę, los się na mnie wziął. Takiego pecha miał chyba tylko Kaczor

Donald.

Dzwonię, żeby go uprzedzić, ale właśnie parkuje przed domem.

– Kochanie, złapałam grypę, pewnie wczoraj mnie przewiało, kiedy próbowałam złapać kota... A, wiesz, że mój kot uciekł?

– Ojej... Żle się czujesz? Bardzo mi przykro, skarbie, jestem już tu na dole, szkoda tego kota... Otwórz mi, proszę, zaraz u ciebie będę.

– A jeśli się zarazisz? Kto wie, kiedy później się zobaczymy.

Przyklejam się do okna, żeby na niego popatrzeć.

O Boże, wygląda zniewalająco w tej kurtce narzuconej na T-shirt, wytartych džinsach, z tą swoją burzą gęstych, rozwichrzonych włosów... Ma w sobie coś z niegrzecznego chłopca, któremu wszystko się wybacza.

Nawet małżeństwo.

Rozmawiamy przez telefon, patrząc na siebie przez szybę.

– A miałem wielką ochotę z tobą pofiglować... – śmieje się pożądliwie do słuchawki.

– Uwierz mi, że ja też, ale z gorączką... – popłakuję.

Spogląda na mnie zrezygnowany i wzrusza ramionami.

– Bogowie nie są nam przychylni, kochanie moje...

– Czy to znaczy, że sobie idziesz? – pytam ze smutkiem.

Miałam nadzieję, że będzie nalegał!

– Może tak będzie lepiej, bo jeśli później zarażę Nadię, i tak dalej, to zobaczymy się pewnie za pół roku.

Dlaczego ciągle musi wymieniać jej imię?

Robię strasznie zawiedzioną minę.

– W porządku, już do ciebie idę. Za bardzo się za tobą stęskniłem, niestraszny mi żaden wirus.

Wchodzi do domu, chwytam mnie w ramiona i od razu czuję się lepiej, tęskniłam za nim jak wariatka.

To wbrew naturze, jeśli rozsądek każe ci tłumić chęć bycia z osobą, którą kochasz.

Kiedy jest przy mnie, chciałabym zatrzymać go na zawsze, od razu przyzwyczajam się do jego zapachu, do ciepła jego ciała i do jego obecności... Mam nadzieję, że ta przymusowa rozłąka tylko wzmocni i scementuje nasz związek. Wyraźnie czuję, że im bardziej za sobą tęsknimy, tym bardziej nabieramy pewności, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

A poza tym, powiedzmy sobie wprost, seks przez telefon jest zdecydowanie przereklamowany!

– Skarbie, jesteś rozpalona, wzięłaś aspirynę? Kładź się do łóżka. – Dotyka dłonią mojego czoła.

– Mam dreszcze i naprawdę kiepsko się czuję.

Prowadzi mnie do sypialni, siada na krześle i patrzy, jak się rozbieram.

Jestem seksowna jak moja babcia, z gorączką i kapiącym nosem.

– Masz jeszcze koronkową koszulkę nocną, którą ode mnie dostałaś?

– Koronkową...? Hmm... Jest w szufladzie.

– Czemu jej nie włożysz?

– Bo źle się czuję i jakoś nie mam weny na numery z klubu go-go.

– No jasne, masz rację, ja po prostu tracę głowę, kiedy widzę cię nagą. –

Wstaje i rusza w moją stronę.

Przez chwilę wyobrażam go sobie ze związanymi rękoma i nogami, z obrozą na szyi i w lateksowym wdzianku...

– Chyba już pójdę. – Całuje mnie w czoło. – Niczego nie potrzebujesz?

– Oczywiście, że potrzebuję! – prychnam, naciągając na siebie piżamę. – Ciebie!

– Przecież tu jestem.

– Wcale nie! Nigdy cię nie ma! Ja potrzebuję cię przez cały czas!

– Dobrze wiesz, jak się sprawy mają, Bri – odpowiada powoli, jakbym była upośledzona.

– Szczerze mówiąc, to właśnie nie wiem – rzucam o wiele ostrzej, niżbym chciała.

– W jakim sensie?

O co mu chodzi, nabija się ze mnie? Nie chcę rozmawiać w takich warunkach, ale nie wyobrażam sobie czekania kolejny tydzień albo, co gorsza, rozmawiania w esemesach.

– Chcę porozmawiać o nas, o naszej przyszłości... O ile w ogóle czeka nas jakaś wspólna przyszłość.

– Dlaczego? Czy coś się stało?

– Tak, trzy lata temu, kiedy brałaś ślub! – wrzeszczę.

– Ach, więc to masz na myśli, skarbie. Wiesz, że na chwilę obecną sytuacja jest krytyczna, ale tak czy inaczej wszystko się ułoży, zobaczysz.

– To znaczy, że wystąpisz o rozwód?

– Rozwód? Nie wiem, ale na pewno w końcu będziemy razem – mamrocze pod nosem.

– Niby jak, jeżeli się nie rozwiedziesz? – pytam rozjuszona.

– Przecież ja nie chcę cię zostawić, głuptasku. Jesteś całym moim życiem. – Obejmuje mnie. – Spokojnie, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

– To nie jest odpowiedź, ty mnie nie kochasz – mówię przez łzy.

– Ależ oczywiście, że cię kocham, skarbie! Teraz kiepsko się czujesz i to nie najlepszy moment, żeby wdawać się w poważne dyskusje, ale musisz mi zaufać, że wszystkim sobie poradzimy – mówi i otula mnie kołdrą. – Chcesz trochę wody? A może soczku?

– Nie, dziękuję, chwilkę się zdrzemnę.

– Dobrze, małeńka, nie wstawaj, bo zmarzniesz, znam drogę do wyjścia, zadzwonię do ciebie później.

Uśmiecham się do niego z wysiłkiem.

I jak tu go nie kochać, no jak?

W progu odwraca się jeszcze.

– A tak w ogóle, to jak nazywa się twój kot?

– Luca.

## Rozdział 7

W spojrzeniu Laury widzę troskę.

Przynajmniej nie muszę symulować grypy.

– Martwię się o ciebie, wiesz? Nie dbasz o swoje zdrowie, nic dziwnego, że się rozchorowałaś.

– Nie, coś ty, po prostu trochę mnie przewiało.

– Masz opryszczkę, a opryszczka to znak, że się stresujesz. Pierwszy raz widzę cię w takim stanie.

– No dobra, wystarczy, potraktuję to jako urlop. – Dopada mnie atak kaszlu.

– Aha! I w dodatku jesteś zakatarzona.

– Laura, proszę cię, nie mam już dwunastu lat. To zwykłe zapalenie oskrzeli, przejdzie mi.

– Antybiotyk by ci się przydał...

– Luca by mi się przydał!

– Rozmawiałaś z nim jeszcze?

– Wieczorem dwie godziny gadaliśmy przez telefon. Był taki kochany, czuję, że coś wreszcie zaczęło się zmieniać, ciągle się z nią kłóci, to już tylko kwestia czasu.

Beztrosko przemilczam fakt, że połowa naszej rozmowy upłynęła na szczegółowych opisach metalowych zacisków akumulatora przyczepionych do jego jaj...

– Obyś miała rację. Przyniosłam ci chleb, mleko i ciasteczka, przynajmniej coś zjesz.

– Dzięki, mamusiu!

– À propos, jak się miewa twoja matka?

– Świetnie, w końcu dalej może mnie torturować.

– W gruncie rzeczy wszyscy chcą przecież twojego dobra, przestań stroić fochy!

– Nie stroiłabym fochów, gdybyście znalazły przyjemniejszy sposób okazywania mi troski i przestały mną dyrygować, jakbym była skończonym ciemniakiem! – Głośno wydmuchuję nos w chusteczkę.

– Ależ nikt nie uważa cię za ciemniaka! Wręcz przeciwnie! Chronimy cię właśnie dlatego, że jesteś wyjątkowa!

– Przed kim? Przed złym wilkiem? Czarnym ludem? To dlaczego nie doczepicie mi kółek do roweru i nie trzymacie mnie za rękę, kiedy przechodzę przez ulicę? No powiedz mi, czy i ja nie mam prawa przeżyć sama własnego życia i czasem nawet sama popełniać błędów?

Laura uśmiecha się do mnie ze smutkiem.

– Szkoda, że mnie kiedyś nikt nie ochronił, tak jak teraz próbujemy ochronić ciebie. Byłam młoda i głupia i wydawało mi się, że jestem zakochana. Myślałam, że i on mnie kocha. A okazało się...

Jej oczy wypełniają się łzami.

– Nie, Laura, proszę cię, nie płacz! Nie mogę patrzeć, jak się smucisz. – Sama też się wzruszam.

– Zaraz mi przejdzie! – Chlipie i zabiera mi chusteczkę, a potem głośno smarka.

– Nie byłaś w stanie przewidzieć, że tak się sprawy potoczą... – usiłuję ją pocieszyć.

– Właśnie, że mogłam! Wiecznie nieobecny, przypominał sobie o mnie, tylko kiedy nie miał nic lepszego do roboty, znikał na całe tygodnie, ciągle miał o coś pretensje. Byłam taką kretynką! – Tryska łzami jak okazała fontanna.

– Laura, przestań, jesteś cudowną kobietą... – Łkam, gładząc ją po głowie. – Wyjątkową i jedyną w swoim rodzaju. Miałaś tylko pecha...

– To wcale nie był pech, wszystko stało się na moje własne życzenie... – szlocha.

– Nie płacz! – błagam ją przez łzy.

– Nie chcę patrzeć, jak popełniasz ten sam błąd! – zawodzi.

– O czym ty mówisz? Ja nie mam dziewiętnastu lat, nie jestem w ciąży i nie jestem bezrobotna!

– Bri, nie przypominaj mi tego! – Szlocha jeszcze głośniej. – Jestem kompletną porażką!

– Oczywiście, że nie! Wychowałaś sama dzieciaka, pracując dzień i noc, powinnaś być z siebie dumna!

– Wcale nie! Powinnam była poczekać na prawdziwą miłość, wyjść za mąż i dopiero wtedy myśleć o dziecku, wszystko spieprzyłam!

– Czy to przypadkiem nie ty miałaś mnie pocieszać? – pytam, pociągając nosem. – Kradniesz mi główną rolę!

Laura mimowolnie zaczyna chichotać.

– Przestań wreszcie płakać, bo inaczej ja nigdy nie przestanę – śmieję się przez łzy.

– Ty pierwsza. Ja nie dam rady – chlipie.

– Nie, najpierw ty.

Na przemian płaczemy i się śmiejemy, przekazując sobie tę samą lepką chusteczkę, aż wreszcie dźwięk dzwonka do drzwi przerywa tę idiotyczną zabawę i Laura idzie otworzyć.

Słyszę szmer rozmowy, później wybuch śmiechu i drzwi się zamykają, a Laura zjawia się w progu mojego pokoju ze szczeniakiem w ramionach.

– To dla ciebie, od Luki.  
Siadam gwałtownie na łóżku.  
– Luca? Był tutaj?  
– Tak, ale spieszył się do biura, prosił tylko, żebyś i psa nie ochrzciła Luca...  
Bo co? Na kota tak wołałaś?  
– Mhm... Ale tylko kiedy nikogo nie było w domu. Daj mi go tutaj.  
To pies rasy Jack Russell terrier, maleńki i aksamitny w dotyku, z ogonkiem spiczastym jak ołówek i brązowym pyszczkiem. Jest przeuroczy.  
– A niech mnie... Hojny prezent – zauważa Laura. – Takie cudo kosztuje co najmniej tysiąc euro.  
– Przestań, to niemożliwe, pewnie go wziął ze schroniska. Luca z trudem rachunki płaci, skąd by miał wytrzasnąć fortunę na rasowego psa?  
– Mój szef ma identycznego i kupił go w hodowli. Takich psów nie znajdziesz w schronisku!  
Ignoruję ją i pozwalam tej słodkiej kuleczce wylizać sobie całą twarz.  
– Luca powiedział, że jest już zaszczepiony, a w tej torbie jest wszystko, czego potrzebujesz. – Podaje mi worek.  
Znajduję w środku niebieską smycz, dwie metalowe miseczki, kubraczek, wielką pakę psiej karmy, czerwoną piłeczkę, kilka gumowych kości i szczotkę.  
Pies, do tego jeszcze to...  
– Jest naprawdę kochany, musisz przyznać – mówi Laura.  
– Pies?  
– Nie, Luca! Kochany facet!  
Uśmiecham się, zadowolona i dumna.  
– Mnie nikt nigdy nie podarował nawet szczoteczki do zębów – wyznaje Laura, potrząsając głową.  
– Luca właśnie taki jest, niesamowicie spontaniczny! Zawsze potrafi mnie zaskoczyć! – chwale się.  
– Wiesz co? – mówi Laura. – Kiedy go zobaczyłam, przypomniał mi się facet, którego często spotykam... Zawsze parkuje w pobliżu mojego sklepu czarnym SUV-em.  
– SUV-em? Daj spokój, Luca jeździ starym fordem fiestą! – odpowiadam, pocierając nosem o pyszczek psa.  
– Na pewno się mylę. Na szczęście, bo tamten gość prowadzi jak idiota. – Całuje mnie w policzek i wychodzi.

Zostaję sama i bawię się z moim nowym kumplem.

Nie mogę się doczekać, kiedy poczuję się lepiej i zabiorę tego małego słodziaka na spacer. Nie dam rady dłużej wylegiwać się w łóżku, minął prawie



tydzień.

Czuję, że wszystko się ułoży. Cała jego troska, którą okazywał mi przez ostatnie dni, teraz jeszcze ten pies – najlepsze dowody, że myśli o naszej dwójce, o naszej miłości, o stabilizacji.

Dzwoni telefon.

– Spodobała się niespodzianka?

– Kochanie, jesteś wspaniały! – piszczę.

– Przynajmniej nie będziesz sama, kiedy nie ma mnie przy tobie.

– Przyznaję, że nie mogłam marzyć o lepszym sobowtórze! Uważaj, bo się przyzwyczaję! Ale skąd go wzięłeś? Laura mówi, że takie maluchy kosztują kupę pieniędzy...

– Ja też mam prawo zrobić ci czasem jakiś ładny prezent! Ale zabraniam ci nazywać go Luca!

– No nie wiem, muszę to przemyśleć.

– Kiedy wrócisz do świata żywych? Jestem zamurowany żywcem w biurze i zaczynam wariować. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– Pojutrze dostaję oficjalny wypis.

– Pojutrze to całe wieki, nie wytrzymam, chcę ciebie.

Poruszam się nerwowo, przeczuwając, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

– Ja też chcę być już z tobą.

– Masz świecę?

– Świ... Świecę?

– Tak, woskową świecę...

– Korki wam wysadziło w biurze? Przecież jest środek dnia, wystarczy otworzyć ok...

– Daj spokój, trochę wyobraźni! – gani mnie.

– Okej, już rozumiem... Tak, trzymam w ręku świecę...

– Dobrze, zapal ją! – szeptem zmysłowo.

Na migi zapalam niewidzialną świeczkę i sama nie dowierzam, że to robię. Całe szczęście, że pies zajął się kością, w przeciwnym razie mógłby mnie uznać za wariatkę.

– Zapalona! – oznajmiam.

– Poczekaj, aż wosk się rozgrzeje i zaczniesz kapać...

Odczekuję kilka sekund.

– Już, jest gotowa...

Nawet w szkole teatralnej nie ma takich performerów...

– Wylej mi gorący wosk na pierś, proszę!

– Gorący wosk... na pierś... Okej, proszę, wylewam, kap, kap, czujesz?

– Tak – mruczy z rozkoszy. – Ooo, właśnie tak, ale parzy!

- Za gorący? – pytam nieco zaniepokojona.
- Nie! Nie! Tak chcę, właśnie tak mi się podoba, o Boże!
- Czyli... Mam cię dalej polewać?
- Tak, tak! O Boże, jak boli! Tak! A teraz niżej, polej mnie niżej!
- Niżej, jasne... Jestem już przy pępku.
- Jeszcze, dalej, jeszcze niżej.

Chyba nie chce sobie jaj poparzyć, co?

- A teraz leję ci wosk na s...

– O Boże, tak! – przerywa mi. – Boże, jak ty mnie podniecasz, jesteś cudowna, cudowna... Nie wytrzymam dłużej, doprowadzasz mnie do szaleństwa! Zaraz wybuchnę!

Chrząkam i jak zwykle czekam, aż dojdzie do siebie.

– Bri... Bri, jesteś fantastyczna! – mówi. – Niesamowita! Jak ja mogłem dotąd żyć bez ciebie?

Przez chwilę sobie wyobrażam siebie w wieku siedemdziesięciu lat przy telefonie stacjonarnym w domu opieki, jak opisuję mu sprośne figle i muszę wydzierać się do słuchawki, bo jest głuchy.

- Kiedy się zobaczymy? – pytam odrobinę rozczarowana.

– Zrobię wszystko, żeby przyjechać, obiecuję. Nadia powinna być jeszcze poza miastem, coś wymyślę, teraz muszę wracać do pracy, to koniec przerwy.

Rozłączam się, czując nieprzyjemny węzeł zaciskający mi się na żołądku.

Gdyby nie sprawa z sekstelefonami, wszystko byłoby idealnie, ale wiem, że niemożliwa jest absolutna i bezkrytyczna akceptacja drugiej osoby, w przeciwnym razie wiązalibyśmy się z lustrzanymi kopiami nas samych.

To właśnie różnice nas łączą i mobilizują do odkrywania nowych horyzontów. Może wreszcie się przyzwyczaję i sama zacznę się przy tym dobrze bawić.

Tak, powinnam trochę wyluzować i zaskoczyć go czymś nowym.

Chyba w gruncie rzeczy jestem tradycjonalistką. Więc może zrobię mu niespodziankę i stanę się nagle wyuzdaną seksbombą?

To mógłby być jakiś pomysł.

Albo i nie.

Mój telefon znowu dzwoni.

O Boże, chyba nie ma ochoty na powtórkę?

Numer biura na wyświetlaczu podnosi mnie na duchu.

- Cześć, Brigitta, tu Agata. Jak się dzisiaj czujesz?

– Lepiej, ale trochę jeszcze gorączkuję i kaszlę.

– Mój mąż też się rozchorował i muszę wziąć kilka dni urlopu. Jak myślisz, kiedy dasz radę wrócić do pracy?

- Planowałam pojutrze, ale jeżeli mnie potrzebujesz, mogę być wcześniej.

– Chciałam wyjść godzinę wcześniej dziś po południu. Borchi odchodzi od zmysłów, zresztą, sama wiesz, jak się denerwuje, kiedy słyszy, że telefon dzwoni zbyt długo!

Patrzę na zegarek. Jest już czwarta.

– Dobrze, zaraz będę i cię zmienię – obiecuję.

Skoro mnie o to prosi, może to oznaczać tylko jedno: huk roboty. Agata nie zesłaby z posterunku nawet w ogniu armatnim.

Ubieram się z trudem, czuję się słaba i kręci mi się w głowie.

Wlekę się do łazienki, żeby wziąć prysznic i doprowadzić do porządku, czuję się podle.

Patrzę na psa i nagle dociera do mnie, że nie wiem, co z nim zrobić.

Nie mogę przecież zabrać go do biura, nie pozostaje mi nic innego, jak zamknąć go w salonie i zarzucić parkiet gazetami.

Może powinien jednak zapytać mnie wcześniej, czy chcę psa.

Przecież muszę jeszcze uporać się z żalobą po stracie kota.

Wychodzę na ulicę. Jest niemiłosiernie zimno, a ja wciąż mam gorączkę... Może nieco się pospieszyłam z udowadnianiem Agacie, jaki to ze mnie wielkoduszny stachanowiec.

Szukam samochodu tam, gdzie go zaparkowałam, ale nie ma po nim śladu, chociaż byłam pewna, że powinien stać niedaleko śmietnika.

Usiłuję przeprowadzić wizję lokalną, lecz wyjaśnienie zagadki znajduje się samo – tuż przed sobą mam tabliczkę z napisem „Czyszczenie ulic w każdy trzeci poniedziałek miesiąca, od godz. 0:00 do godz. 6:00”.

Skąd ja miałam wiedzieć, do cholery, który to trzeci poniedziałek miesiąca?

Nie mogą zwyczajnie sprzątać ulic w każdy poniedziałek? Albo przynajmniej przypominać ludziom przez megafon? Przecież niektórzy pracują, nie?

Fantastycznie!

Pozostaje mi autobus, a później jeszcze pół kilometra piechotą.

Autobus oczywiście podjeżdża, kiedy do przystanku zostaje mi jakieś sto metrów, i muszę biec co sił w nogach, żeby mi nie uciekł. Ledwo stoję, spocona jak mysz, i prawie dostaję drgawek, do tego stopnia, że jakaś starsza pani nalega, bym usiadła na miejscu dla inwalidów i kobiet w ciąży.

Po trzech kwadransach docieram do biura.

Ledwo wysiadam z autobusu, potężny czarny SUV z ciemnowłosym chłopakiem za kierownicą i rudą dziewczyną na miejscu pasażera przejeżdża mi przed nosem, skręcając z dużą prędkością, i o mały włos nie rozgniała mnie na miazgę.

Gdyby mnie przejechali w drodze do pracy, tobym wystąpiła o takie odszkodowanie, że całą resztę życia spędziłabym na Antylach.

Wchodzę do biura, a Borchini bez słowa powitania zarzuca mi stosem spraw „na wczoraj”, i już tonę w morzu dat, cyfr, adnotacji, protokołów i karteczek samoprzylepnych. Jestem obładowana papierami, jakbym niosła dary na akcję humanitarną, i wciąż kręci mi się w głowie.

W dodatku Agata zostawiła mi listę zadań do wykonania, która może miałaby jakikolwiek sens, gdybyśmy były sekretarkami w Białym Domu.

Wzdycham i zabieram się do pracy, a Borchini krąży między swoim gabinetem a sekretnym archiwum, zwanym przez nas watykanem, do którego tylko on posiada klucz i gdzie trzyma akta klientów, którymi zajmuje się osobiście. Jest wśród nich Luca, co zawsze nieco mnie dziwiło, zwłaszcza że jego oświadczenie o dochodach ma niewiele wspólnego z PIT-em Marka Zuckerberga, ale jako że znają się od zawsze, to pewnie zwykły przyjacielski gest.

Wypełniam niekończącą się górę formularzy, wysyłam tysiąc mejli i nie podnoszę głowy znad biurka do siódmej.

Borchini, wciąż zamknięty w gabinecie, rozmawia przez telefon, a ja muszę poczekać, aż skończy, żeby się pożegnać i wyjść.

– Luca, kiedy tu zajrzałeś, nie przyniosłeś mi tego, o co prosiłem... – słyszę głos Borchiego.

Przystawiam ucho do drzwi.

– ...bardzo ważne, powiedziałbym, że niezbędne, bez tych dokumentów nic nie mogę zdziałać... No tak, świetnie, tylko pamiętaj! Cześć!

Rozłącza się.

Pukam.

– Proszę – odpowiada.

– Mecenasiu, ja już pójdę, o ile niczego pan ode mnie nie potrzebuje. – Staję w progu.

– Nie, nie, to wszystko na dziś, dziękuję – spławia mnie i pisze dalej na klawiaturze.

– Ekhm... Mecenasiu, przepraszam, że pytam, wiem, że to nie moja sprawa, ale czy przypadkiem... był tutaj dzisiaj Luca Bevilacqua?

– Tak, dziś po południu, jeszcze zanim pani przyjechała do biura.

– Aha i... i... – nie wiem, dlaczego go o to pytam, ale czuję się, jakby ktoś mówił za mnie. – A czy... czy on był sam?

– Tak, był sam, dlaczego pani o to pyta? – odpowiada z rozdrażnieniem, odkładając okulary na stół.

– Tak z ciekawości, zdawało mi się, że go widziałam... No nic... To ja już pójdę. – Zamykam za sobą drzwi.

– Tak, do widzenia!

Nie wiem, czemu przyszło mi do głowy to pytanie... Ano tak, przypomniał mi się SUV, który prawie mnie rozjechał.

Naprawdę, kretynka ze mnie.

Ale to dziwne, mógł mi przecież powiedzieć, że był dzisiaj w biurze.

Korci mnie, żeby do niego zadzwonić, ale nie chcę sprawiać wrażenia natarcywej i podejrzliwej.

Poza tym, na pewno istnieje jakieś wyjaśnienie, logiczne i naturalne.

Wychodzę z biura. Jest już ciemno, a ja nie mam samochodu. Dzwonię do Marty, która mieszka niedaleko, i proszę, by mnie podwiozła, bo na samą myśl o staniu na przystanku czuję dreszcze na plecach. Jak zwykle, nie każe mi na siebie długo czekać. Gdyby nie było takich przyjaciółek na świecie...

– Słuchaj, Marta, byłaś kiedyś z kimś, kto prosił cię o dziwne rzeczy? – pytam.

– Hm... Tak, zazwyczaj o pieniądze!

– Nie, chodziło mi o nieco dziwniejsze... – bąkam.

– Typu trójkąty, zwierzęta, karły i baletnice?

– Nie aż takie dziwne.

– Gramy w ciepło-zimno? Mogłabyś trochę jaśniej?

– Seks przez telefon! – wyrzucam z siebie gwałtownie.

– Ha, ha, ha! – Śmieje się jak opętana. – Uprawiacie seks przez telefon? Nie wierzę! O rany, jak w latach osiemdziesiątych.

– Nie mamy większego wyboru, skoro widzujemy się tak rzadko!

– I podoba ci się to?

– Szczerze mówiąc, to nie do końca moje klimaty... Wolałabym romantyczny weekend w Paryżu i leżeć cały dzień w łóżku, jedząc croissanty, ale on mi się tak podoba!

– Czyli nie ma mowy, abys go zostawiła, zgadza się? – Klepie mnie w kolano.

– No jasne, że nie!

– Ech, ja miałam byłego, który podniecał się wyłącznie na myśl o swojej matce...

– Fuj, ohyda!

– Tak, w sumie to zajeżdżało trochę patologią.

– A ze mnie się śmiejesz! – protestuję.

– Ale ja go rzuciłam!

– I według ciebie ja powinnam zostawić Lucę, bo chce, żebym mu polewała tors gorącym woskiem?

– I ty mu to naprawdę robisz? – Wybuchają wariackim śmiechem, wciskając gwałtownie hamulce.

– Tylko tak na niby! – O mały włos nie zawiesiłam się na pasach bezpieczeństwa.

– Musisz go rzucić, ponieważ ma żonę oraz każe ci robić rzeczy, które cię

w ogóle nie kręca! – Celuje we mnie palcem wskazującym.

– A może właśnie mi się podobają, ale muszę zmienić punkt widzenia... To trochę tak jak z camembertem, śmierdzi, ale jest pyszny!

– Genialny przykład! – wykrzykuje Marta. – A jeśli się okaże, że nie tolerujesz laktozy, co wtedy?

– Mleko sojowe? – Wsiadam z samochodu i zatrzasnę za sobą drzwi.

## Rozdział 8

Wchodzę do domu i z trudem rozpoznaję własny salon.

Pies wypróżnił się na wszystkie, dosłownie wszystkie, nienadające się do umycia powierzchnie w pokoju. Kanapa utyłana jest psią kupą, kabel od lampy zwisa cały w strzępach, dywan nie ma już ani jednego frędzla, a jakby tego było mało, ponadgryzał moje gazety.

Teraz już pamiętam, dlaczego wolę koty.

– Dostaniesz za swoje, właśnie otrzymałeś imię: Syfiarz! – Opadam na klęczki i zaczynam sprzątać.

Ale nie, najpierw muszę pozbyć się robala niepokoju, który dalej draży mnie z tyłu głowy.

Muszę zadzwonić do Luki.

A on nie odbiera.

Czuję, jak skacze mi ciśnienie.

No, odpowiadaj, już! Gdzie jesteś? Siedzisz z Nadią w SUV-ie? Jesteś u Borchiego? Co przede mną ukrywasz?

Rzucam telefon na stół i siadam na podłodze. Dłużej tak nie wytrzymam.

Syfiarz zwija się w kulkę obok mnie, ale nie jestem w nastroju do pieszczot. Zwłaszcza że sama ostatnio nie dostaję ich zbyt wiele.

Nienawidzę tego poczucia bezsilności i niepokoju.

Nienawidzę, kiedy wszystko wymyka mi się spod kontroli, a przede wszystkim nienawidzę tej okropnej myśli, że o czymś nie wiem.

Po chwili, która w mojej głowie trwa wieczność, a mogło to być pięć sekund albo dziesięć minut, on wreszcie oddzwania.

– Gdzie byłeś? – warczę o wiele bardziej zajadle, niżbym tego chciała.

– Hej, spokojnie! Co się stało? Nie słyszałem telefonu – odpowiada obronnym tonem.

– Byłeś dzisiaj w kancelarii?

– Jakiej kancelarii? – pyta urażony.

– W kancelarii Borchiego, tam, gdzie pracuję! – wyjaśniam. Jakby to nie było oczywiste!

Cisza.

– Widziałaś mnie?

– Co to za odpowiedź, do cholery? Nie, nie widziałam cię! Ale słyszałam, jak Borchio rozmawiał z tobą przez telefon, a potem zapytałam go, czy byłeś dzisiaj w biurze, i on potwierdził!

Znów cisza.

– Tak, być może tam zaszedłem.  
– Jak to: być może? Masz atak alzheimera? Przez telefon powiedziałaś mi, że „zamurowali cię żywcem w biurze”! – dociekam jak detektyw w *Kryminalnych*.  
– Bo byłem w biurze!  
– Zaraz, wyjaśnij mi to, bo skoro zaraz po wyjściu z mojego biura znalazłeś się w twoim biurze, to znaczy, że lataśz helikopterem!  
– Jeszcze nie dojechałem do biura, ale byłem w drodze i przypomniałem sobie, że muszę wpaść do Borchiego i zostawić mu dokumenty. Co cię napadło? Urządzasz mi przesłuchanie? Wcale mi się to nie podoba! – prychna.

Cisza.

Teraz czuję się naprawdę głupio.

– Przepraszam, że podniosłam na ciebie głos. – Usiłuję nad sobą zapanować.  
– To był koszmarne dzień, wciąż jeszcze mam gorączkę, wybacz moją podejrzliwość, ale tęsknię za tobą. Strasznie długo się nie widzieliśmy.  
– Myślałaś, że cię oszukuję? – pyta łagodnie. – Niby dlaczego? Moje życie i tak jest skomplikowane, więc po co miałbym okłamywać jeszcze ciebie?  
– Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam! – mówię mu smutnym głosem.  
– Skarbie, obiecuję ci, że już wkrótce będziemy razem!  
– Tak, ale kiedy? – marudzę.  
– Już niedługo, przecież wiesz. Teraz wracam do pracy, czeka na mnie na biurku cały stos papierów.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Ufff... Wiedziałam, że jest jakieś logiczne wytłumaczenie, byłam tego pewna.

Sprzątam w salonie i wreszcie mogę iść do łóżka. Padam z nóg.

Trochę później dostaję to:

*Chciałbym być twoim cieniem, by*

*Być zawsze obok ciebie i żywić się*

*Twoim światłem. Kocham cię.*

I zasypiam błogim snem.

Następnego ranka świeci słońce, a wraz z nim jaśniej całe moje życie.

Po gorączce nie ma już śladu. Docieram punktualnie do biura, gdzie pracuję w rekordowym tempie i nawet Borchiego nie ma żadnych powodów do narzekań.

– Czujesz się lepiej, co? Widać! – zauważa Agata porozumiewawczo.

– Tak, wreszcie mi przeszło, wyzdrowiałam, a Luca jest kochany, życie wreszcie się do mnie uśmiechnęło! – oznajmiam radośnie.

– Bardzo się cieszę! Wreszcie porozmawialiście?

Przypominam sobie mój dwustronicowy „plan działania”, którego wciąż nie udało mi się mu przedłożyć, ale przyrzekam sobie, że zrobię to jutro, kiedy się



spotkamy.

– Już niedługo! – zapewniam. – Choć i bez tego za chwilę będzie po wszystkim! – usiłuję przekonać bardziej siebie samą niż ją.

– Miejmy taką nadzieję! – odpowiada i wraca do pracy. – Zaslugujesz na mężczyznę, który da ci szczęście.

– Każda z nas na takiego zasługuje, prawda? – mówię lekko.

Dzień mija jak z bicza strzelił, a Luca wciąż milczy od czasu nocnej wiadomości.

To prawda, powinnam już przyzwycząić się do jego tempa, ale wciąż nie mogę zrozumieć, czemu odpowiedź zajmuje mu tyle czasu i dlaczego prawie zawsze ja dzwonię do niego pierwsza.

Poza tym, ta wieczna niepewność, kiedy się wreszcie zobaczymy, strasznie mnie stresuje.

W porządku, jest w to wszystko zaplątana jeszcze żona, zdaję sobie sprawę. Ale w gruncie rzeczy przecież on cały dzień siedzi w biurze, więc mógłby znaleźć chwilę, żeby zamienić ze mną kilka słów. A może boi się podstępnej pamięci komórki?

Wieczorem znajduję przed drzwiami wejściowymi anonimową paczkę.

Podnoszę ją i podejrzliwie ważę w dłoniach.

Ani to moje urodziny, ani święta, nie czekam też na żadną przesyłkę. Potrząsam pudełkiem w obawie, że w środku znajduje się cały miot kociąt, ale na szczęście nie słyszę miauczenia.

W zamian za to pies, kiedy tylko wchodzę do mieszkania, skacze na mnie, jakby miał sprężyny przyczepione do łap.

To miłe, kiedy ktoś wita nas z bezinteresowną radością.

Siadam na podłodze i otwieram pakunek.

I własnym oczom nie wierzę.

Strój seksownej kelnerki, zestaw sado-maso z parą kajdanek, maseczką i pejczykiem, różowy wibrator, na który pies rzuca się z zębami i natychmiast ucieka za kanapę, oraz para wibrujących majtek.

Wibrujące majtki?!

Oniemiała, gapię się na całe to oprzyrządowanie, które, ku mojemu przerażeniu, przypomina mi przebrania karnawałowe na bal w podstawówce, które kupowało się w sklepach z gadżetami.

Chociaż poduszka-pierdziuszka była o niebo zabawniejsza.

Przekaz wydaje się czytelny.

Otwieram opakowanie ze strojem kelnereczki, na który składa się pas do pończoch, mikroskopijny fartuszek z otworem na pupę i muszka. Szukam

brakujących części, typu koszula, kamizelka czy chociaż serwetka, ale oczywiście nic więcej już w środku nie ma.

Głowią się nad zastosowaniem wibrujących majtek, ale jestem pewna, że już wkrótce zostaną uświadomiona.

Zdecydowanie to nie moja bajka, ale zdaje się, że nadszedł moment, żebym zaczęła edukację w tym kierunku.

W pudełku jest też wizytówka strony z sex-zabawkami i wiadomość od Luki na odwrocie: „Dam ci klapsa”.

To dopiero romantyk...

Natychmiast wchodzę na stronę i... pękam ze śmiechu.

Nie miałam pojęcia, że istnieją sztuczne fallusy w rozmiarze gaśnicy czy wibrujące jajka na pilota!

Nie jestem w stanie przestać się śmiać, nie miałam pojęcia o rozmiarach tego kompletnie nieznanego mi sektora rynku. A niektóre produkty mają taki dizajn, że mogłyby uchodzić za projekty Philippe'a Starcka!

Są nawet powiększaczce penisa i pompki z ciśnieniomierzem, pasy cnoty, wibratory przypominające blender i bogaty wybór świec. Wygląda na to, że oparzenia cieszą się powodzeniem.

No cóż, wreszcie uświadomiam sobie, że na świecie żyje cała masa ludzi, których kręci przebieranie się za uczennice czy Batmana i którzy świetnie się bawią, uprawiając niekonwencjonalny seks.

Wystarczy zatem zwyczajnie się dostosować, dzięki czemu wprawię go w taki zachwyty, że na samą myśl o mnie jako bezpruderyjnej partnerce jego żona stanie się tylko mglistym wspomnieniem.

Okolo północy, jak zwykle, przychodzi wiadomość:

*Kochanie moje, jeśli to, co nas łączy, to błąd...*

*To chcę się mylić przez całe życie! PS Włóżysz*

*dla mnie do biura wibrujące majteczki?*

## Rozdział 9

Ciężko mi się chodzi z tym czymś w rodzaju gumowej myszki wszytym w majtki. Teoretycznie powinnam uruchamiać to za każdym razem, kiedy najdzie mnie ochota na orgazm w biurze!

Na szczęście nie ma opcji zdalnego sterowania...

Witam się z Agatą, która jak zwykle posyła mi pełen słodczy uśmiech – nie to, co moja matka, która rano przetrzymała mnie dwadzieścia minut przy telefonie, aby rozplywać się nad tym, jak wspaniale rozwija się czwórka jej wnuków, niewiarygodnie inteligentnych, zdolnych i nad wiek dojrzałych! Mimo że ja mówiłam i liczyłam, kiedy miałam roczek!

Siadam przy moim biurku i skupiam się na wyznaczonych na dziś zadaniach.

Mam tyle druków PCC-3 do wypełnienia, że pewnie życia mi nie starczy, by to skończyć.

To jedna z tych naprawdę użytecznych rzeczy, których powinni uczyć w szkole: jak poprawnie odczytać i wypełnić rubryczki w formularzu podatkowym.

Przynajmniej ludzie przestaliby udawać, że nie mają pojęcia, co to są podatki.

O jedenastej dostaję esemesa.

*Skarbie, a może byś włączyła?*

Odpisuję bez zastanowienia.

*Co takiego?*

*Guziczek na pilocie!*

O niebios! Odkąd usiadłam, udało mi się jakoś o tym zapomnieć.

Czy on zwariował? Z Agatą tuż obok i Borchim w sąsiednim pokoju?

*Nie mogę. Jest pełno ludzi.*

*To nawet lepiej!*

No jasne, ależ ze mnie naiwniaczka...

Wsuwam rękę do torebki i wyciągam miniaturowego pilota przypominającego odtwarzacz mp3. Wciskam play.

Niespodziewanie ta rzecz w moich majtkach ożywa, uniemożliwiając mi normalne siedzenie na krześle.

Wygląda to, jakbym dostała drgawek, bo cała się trzęsę.

Mecenas Borchim właśnie w tym momencie postanawia mnie zawołać i poprosić o jeden świstek.

Łapię za pilota i przyciskam guzik, żeby wyłączyć urządzenie. Nie reaguje.

Próbuję jeszcze raz.

Nic.

O, kurwa! – to jedyne, co przychodzi mi do głowy. To koniec!

– Słyszała pani? Dokument! Proszę się pospieszyć, rozmawiam przez telefon na drugiej linii!

– Dochodzę, panie mecenasie! Znaczy, chciałam powiedzieć, już do pana idę!

Wyglądam jak Jim Carrey w jego najgłupszych komediach.

– Wszystko z panią w porządku? – pyta, widząc, jak wchodzę ze spuszczoną głową, ledwie przebierając nogami.

– Tak, nic mi nie jest... Muszę do łazienki... Wie pan, piję dużo wody... – mówię i rzucam mu dokument na stół, po czym biegnę do łazienki, gdzie zamykam się na klucz, żeby rozbroić to ustrojstwo.

Doprawdy, ktoś chciał mnie przekonać, że coś takiego kogokolwiek podnieca?

Może po prostu to ja się do tego nie nadaję!

A jednak plan był taki, że stanę się seksbombą, a więc, w ten czy inny sposób, muszę do tego przywyknąć.

Wracam za biurko. Agata dziwnie na mnie patrzy.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

– Tak, tak! – zapewniam rozochoczoną, wygładzając spodnie.

Cudownie...

*No i jak? Podoba ci się?*

Pisze mój perwersyjny ukochany.

*Bardzo. Żałuję, że nie odkryłam tego wcześniej.*

Jasne, żeby mnie wywalili z roboty...

*Gdzie teraz jesteś?*

*Przy biurku.*

*I co, naciśniesz znowu guziczek?*

Czy on nie powinien pracować?

*Hmmm, dobrze.*

Kłamię.

*No i jak?*

*Cuuudownie! Jeszcze nic mnie nigdy tak nie przewibrowało!*

W sumie chyba nie muszę mówić mu całej prawdy, nie?

*Podniecasz mnie, wiesz?*

– Brigitta, czy ty znowu wypisujesz esemesy pod biurkiem? – Podskakuję na krześle, słysząc głos Agaty. – Naprawdę chcesz go zdenerwować?

– Wiem, przepraszam, ale to pilne, już odkładam telefon!

No i co ja teraz zrobię? On czeka na odpowiedź, a przecież nie mogę co chwila latać do łazienki.

Może wyślę mu mejla?

Komórka wibruje mi w kieszeni, by oznajmić o przynajmniej pięciu nowych esemesach.

Jak można było w ogóle żyć, zanim wynaleźli wibracje w telefonie?

Borchi wychodzi z gabinetu z marynarką pod pachą i staje przy moim biurku.

– Wychodzę na obiad z klientem, wrócę o piętnastej trzydzieści.

– Oczywiście, mecenasie – mówię z uśmiechem.

– A co to jest? – Bierze do ręki niebieskiego pilota.

– Och, nic, pilot od bramy – odpowiadam ostrożnie, a po plecach spływa mi zimny pot.

– Dobry pomysł, żeby go obić gumą, moja żona psuje jeden tygodniowo. Jakiej to firmy? – Przygląda się bacznie urządzeniu.

– Hmm... Dowiem się i panu przekażę, to prezent... – Sztywnieję ze strachu.

– A tutaj jest napisane „Horny lady”, co to znaczy?

– Bo ja wiem... Wie pan, chińska tandeta...

I, zgodnie z moimi obawami, Borchi naciska guzik, a ja podskakuję na krześle.

– Co to za hałas? – pyta.

– Też coś słyszę – wtóruje mu Agata.

– A ja nic nie słyszę. – Wzruszam ramionami i ściskam nogi pod stołem, spoglądając na nich ze zmarszczonym czołem.

Mierzają mnie pytającym spojrzeniem.

– Będą na pana czekać z obiadem – podpowiadam, drapiąc się po karku.

– Tak, chyba już pójdę, nie chcę się spóźnić. – Oddaje mi pilota i wychodzi z pokoju.

Macham mu jedną ręką i odprowadzam wzrokiem do drzwi, po czym rzucam się na pilota i zębami usiłuję wyciągnąć z niego baterie.

– Wszystko w porządku? – pyta zdezorientowana Agata.

– Nigdy nie czułam się lepiej. – Uśmiecham się do niej i rozsiadam wygodnie na krześle, zakładając ręce za głowę.

Właśnie uprawiałam seks z mecenasem Borchim...

## Rozdział 10

– Słuchaj, mogę poprosić cię o przysługę? – pyta Laura.

– Mów, o co chodzi – odpowiadam.

Spacerujemy z psem po ulicy w sobotni poniedziałek.

– Spotkałabyś się z moim znajomym? Jeden, jedyny raz?

– A niby czemu?

– Bo to świetny chłopak, niedawno zostawiła go dziewczyna i chciałabym, żebyś go poznała.

– Mam pocieszać twojego kumpla, który dostał kosza? – Nie kryję zdumienia.

– Tylko jedna kolacja!

– Dziwny pomysł. – Zbieram łopatką psie nieczystości, zadziwiona, ile się mieści w takim maleńkim stworzonku.

– Wyjdziecie razem i będzie sympatycznie. I tak przecież z Lułą prawie się nie widujecie, a mojemu znajomemu dobrze zrobi trochę rozrywki. Powiedziałam mu już, jaka z ciebie fajna dziewczyna, więc może jednak weźmiesz pod uwagę jakiś wypad na pizzę?

Gończkowo analizuję za i przeciw.

Mógłby to być sposób, aby wzbudzić w nim zazdrość.

– Dobrze, myślę, że dałoby się to zrobić – rzucam od niechcienia, z obojętną miną.

– Wobec tego umówię was na dzisiejszy wieczór. Dałam mu już twój numer, wiedziałam, że się zgodzisz! – mówi i rzuca mi się na szyję.

– Jestem aż tak przewidywalna?

– Trochę tak – przyznaje z rozbijającą szczerością.

W domu zastanawiam się nad tym wszystkim.

Jeśli go poinformuję, że widuję się z kimś jeszcze, zrozumie, co oznacza być po stronie, która musi ciągle czekać i zadowalać się ochłapami.

Jestem pewna, że osoba zdradzająca nie zdaje sobie sprawy, jak ciężko jest przystosować się do bycia z kimś, kto dzieli życie z inną osobą. I nie ma tam miejsca na zazdrość, bo „przecież wiedziałaś, jak jest”.

A obawa przed szczerą rozmową w drugim związku zwiększa tylko ryzyko, że gra na dwa fronty przeciągnie się w nieskończoność.

Ale przecież to ty masz problem, skoro już wpakowałaś się w romans z żonatym facetem, nie?

Muszę w końcu z nim porozmawiać. Muszę temu wszystkiemu zaprzeczyć.  
Po południu dzwoni do mnie Maurizio.

– Cześć, Brigitta, dostałem twój numer od Laury – słyszę wesoły głos w słuchawce.

– Tak, czekałam na twój telefon!

– Przyznaję, że czuję się trochę niezręcznie, ale znasz ją – kiedy sobie wbije coś do głowy...

– Właśnie, drugiej tak upartej ze świecą szukać! – przytakuje.

– Wpadnę po ciebie i wyskoczmy do fajnej knajpki. Jeśli się polubimy, możemy znowu się spotkać, w przeciwnym razie przysięgam, że wykasuję twój numer!

Śmieję się.

– Umowa stoi.

– Ach, jeszcze najważniejsze pytanie. Jesteś wszystko-żerna?

– Absolutnie tak! – potwierdzam stanowczo.

– Wobec tego należysz do wyjątków! W dzisiejszych czasach...

Umawiamy się na ósmą. Nie pozostaje mi teraz nic innego, jak powiadomić Lucę, który zazwyczaj, kiedy piszę mu esemesa w weekend, odpisuje w okolicach poniedziałkowego poranka.

A czasem to nawet potrafi się wkurzyć!

*Nie dzwoń do mnie dzisiaj wieczorem, jestem umówiona.*

Dokładnie po czterech sekundach dostaję odpowiedź.

*Z kim?*

Ha, ha! Trafiony, zatopiony...

*Ze znajomym, nie znasz.*

*Co to ma znaczyć? Skąd go wzięłaś?*

Ojej, ktoś tu chyba jest zazdrosny...

*Laura mnie z nim poznała, wybacz, ale muszę się zbierać, na razie!*

Odliczam: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... Dzwoni!

(Dzwoni do mnie!!!).

– Umówiłaś się na randkę? – docieka urażony.

– Tak. Nie mogę? – odpowiadam spokojnie.

– Oczywiście, że nie możesz, jesteś ze mną! – wybucha śmiechem, udając obojętność.

– I kto to mówi?

– Ja to mówię!

– Czy mi się zdaje, czy rozmawiam z żonatym facetem, który nigdy nie zdecyduje się na rozwód? – prowokuję go.

– Oczywiście, że się zdecyduję! Potrzebuję tylko czasu, ale jeśli ty spotykasz

się z innymi, to może wcale nie warto, bo to znaczy, że mnie nie kochasz!

– Jasne, że cię Kocham, głuptasie! Ale też chcę mieć coś z życia. – Nie wierzę we własny tupet, ale najwyraźniej przynosi efekt.

– I dokąd cię zabiera ten typ?

– Do jakiejś miłej knajpki, do której ty nigdy byś mnie nie zabrał, bo nie możesz się ze mną publicznie spotykać.

A poza tym cię nie stać, myślę.

Słyszę jego przyspieszony oddech. Jest zdenerwowany.

– Prawdziwa z ciebie zołza!

– Może i tak, ale tylko trochę. A teraz wybaczyć, muszę wziąć prysznic!

– Prysznic? Nie rozłącz...

Kończę rozmowę. Chyba jeszcze nigdy nie czułam takiej satysfakcji.

Biorę na ręce małego Syfiarza i podnoszę go wysoko do góry.

– Wy, faceci... Samolubne Męskie Skurczybyki...

Przygotowuję się do wyjścia i staram się nie zwracać uwagi na grad wiadomości, którymi zasypuje mnie ten idiota Luca.

Niechybny dowód na to, że kiedy chce, potrafi znaleźć sposób, by obejść kontrolę bezpieczeństwa.

Punktualnie o ósmej Maurizio czeka przed moim domem.

Wysiąda, żeby otworzyć mi drzwi, okrąża samochód i wręcza mi czerwoną różę.

Śmieję się.

– Poważnie?

– Laura powiedziała, że mam cię traktować jak księżniczkę, a ja jestem posłuszny jej rozkazom!

Z galanterią całuje mnie w rękę i zaprasza, bym zajęła miejsce w samochodzie.

Jest naprawdę przystojny, ma brodę i okulary, trochę intelektualista, ale wygląda na sympatycznego.

– Zanim wyruszymy, pozwól, bym ci powiedział, że jesteś prześliczna, twoje włosy w odcieniu czekolady podkreślają twoje orzechowe oczy, do których świetnie pasuje makijaż, który wybrałaś na wieczór i który sprawia, że masz kocie spojrzenie, bardzo zmysłowe, ale nie wulgarne, i zaraz, co jeszcze... ach, tak! Wybierz muzykę, której chciałabyś posłuchać!

Wybucham śmiechem.

– To z jakiejś książki, typu „jak sprawić, by zakochała się w tobie w trzy minuty” czy kolejny rozkaz Laury?

– Ani jedno, ani drugie! Ale skoro pewnie już nigdy się nie zobaczymy po dzisiejszym wieczorze, bo pokłócimy się o wybór filmu albo o to, co powiem, albo czego nie powiem, więc przynajmniej tym razem chcę być pewny, że spróbowałem



wszystkich sposobów!

– O jednym zapomniałeś.

– O czym? – pyta zaniepokojony.

– Nie powiedziałeś mi najważniejszej rzeczy, a mianowicie, że ostatnio schudłam!

Wybuchła śmiechem.

– Przysięgam, że następnym razem będzie to pierwsze zdanie, które ode mnie usłyszysz!

– Na to liczę! Dokąd mnie zabierasz? – pytam ze szczerym entuzjazmem.

– Do restauracji, którą wszyscy mi polecali i która ma w dodatku pięć gwiazdek na TripAdvisorze! A, i uprzedzam, że kolacja kosztuje tam fortunę, ale nie zapłacisz za swoją połowę, nawet jeśli się pokłócimy!

– Uff, od razu mi lepiej, w portfelu mam tylko trzydzieści euro! Słuchaj, znajdę tu może Jamesa Blunta?

– Jeszcze pytasz? Jest też Coldplay...

– Ale na pewno nie masz Proclaimersów! – droczę się z nim.

– Doprawdy? A proszę bardzo! Pewnie, że mam, to ja odkryłem *500 Miles!*

Szuka kawałka w odtwarzaczu i zaczyna podśpiewywać ze szkockim akcentem.

Potrafi mnie rozśmieszyć, ale jakoś nie dopuszczam do siebie myśli, że tak swobodnie się z nim czuję. Zbyt swobodnie...

– Wiesz, w ilu filmach wykorzystali tę piosenkę?

– Pewnie! Słyszałam ją w *Wieczorze panińskim*.

– I w *Benny i Joon*.

– Leciała też w *Family Guy*.

– I w *Chirurgach*.

– Ale to był cover, nie liczy się!

Znowu się śmiejemy.

– Chyba powinienem częściej wychodzić z domu – mówi. – Ale widzę, że u ciebie też nie jest lepiej.

Docieramy do restauracji, gdzie kelner o nienagannych manierach odbiera nasze płaszcze i prowadzi nas do stolika nieco na uboczu.

Wygląda to wszystko na randkę pary, której albo bardzo zależy na intymności, albo musi się przed kimś ukrywać.

Specjalnie nie odpisuję na esemesy Luki, bo zamierzam doprowadzić go dziś wieczorem na skraj szaleństwa.

Zerkam na telefon i odkładam na stół, ale Maurizio podnosi palec w ostrzegawczym geście.

– Pierwsza zasada: żadnych komórek, aż do momentu, gdy odprowadzę cię do domu! – Uśmiecha się do mnie i wyłącza swojego iPhone’a, po czym wsuwa go do kieszeni marynarki.

Wykrzywiam się lekko.

– Jestem telefonoholiczką – przyznaję po raz pierwszy w moim życiu.

– Tym gorzej dla ciebie, bo będziesz musiała znosić moją upierdliwą obecność przez najbliższych kilka godzin.

– Okej... – mówię i schylam się, udając, że odkładam komórkę do torebki, a tymczasem wtykam ją sobie z tyłu, za pasek spódnicy.

W końcu zyskałam już spore doświadczenie w zakresie wibracji.

– Wybierz wszystko, na co masz ochotę, ja i tak nie wiem, co kryje się za większością tych nazw, bo nie znam francuskiego, ale dziś wieczorem możemy udawać, że to ostatni dzień naszego życia, i korzystać do woli!

– A więc, szampan! – oznajmiam.

– Oczywiście! – przytakuje z uśmiechem.

Wybieramy najdroższego szampana z menu i przypadkowe potrawy, którymi postanawiamy się podzielić, jakbyśmy znali się od zawsze.

– Czym się zajmujesz? – pytam.

– Jestem dziennikarzem ekonomicznym – mówi, rozkładając sobie serwetkę na kolanach.

– Brzmi ciekawie! A co robi dziennikarz ekonomiczny?

– Udaje, że rozumie ekonomię, i jeszcze próbuje wytłumaczyć ją innym!

Śmieję się.

– Ja też w pewnym sensie wyjaśniam innym sekrety ekonomii. Pracuję w kancelarii podatkowej.

– A więc wzniesmy toast za naszą bezinteresowną pomoc bliźniemu! – Wznosi kieliszek.

– Za wolontariat! – Przyłączam się.

Bawię się tak dobrze, że prawie nie zauważam telefonu bzyczącego w okolicach mojego tyłka.

Przepraszam Maurizia i idę do łazienki.

– Co jest? Twojej żonie coś się przytrafiło? – pytam sarkastycznie.

– To mnie zaraz szlag trafi! Gdzie jesteś?

– A co cię to obchodzi? Jestem na kolacji na mieście i spędzam czas w miłym towarzystwie. Maurizio to przeuroczy chłopak!

– Maurizio? Imię dla nieudacznika!

– I tu się mylisz! Jest dziennikarzem, w dodatku bardzo sympatycznym i niesamowicie szarmanckim. I nie dzwoń już do mnie, bo mu obiecałam, że wyłączę telefon!

– A, czyli jesteście już na etapie składania sobie obietnic? To kiedy ślub?

Coś nie mogę łyknąć tej historyjki, wiesz?

– To łyknij alka-seltzer! Pa, pa!

– Nie rozłączaj się jesz...

Uwielbiam tę zabawę!

Wracam na miejsce, udając, że wycieram ręce, i dalej sączę szampana ze swojego kieliszka.

Maurizio uśmiecha się do mnie, wyciągając z koszyka z pieczywem ostatnią kromkę chleba z ziarnami sezamu.

– Dużo masz na koncie skomplikowanych historii? – pytam.

– Więcej się nie da. Ale za każdym razem usiłuję zapamiętać, gdzie się pomyliłem. W ten sposób, kiedy stuknie mi dziewięćdziesiątka, będę chodzącym ideałem!

– Ideały są śmiertelnie nudne...

– A skąd ja mógłbym o tym wiedzieć? Uzbierałem już sporą kolekcję tych wszystkich „myślałam, że jesteś inny” i „ty mnie nie rozumiesz”!

– Na tym właśnie polega problem! Zamiast silić się na perfekcję, powinniśmy pokazać wszystko to, co najgorsze: jacy jesteśmy niesympatyczni, źle wychowani i roztargnieni. Jeśli ktoś nas takimi pokocha, to reszta przy tym to bułka z masłem!

– Nigdy w ten sposób o tym nie myślałem, ale to rzeczywiście ma sens!

– A więc za tych, którzy nie boją się szczerości! – Wznoszę toast.

– Chcesz poznać moją największą słabość?

– Tak, bardzo!

– Chleb! – Wyznaje, przeżuując z otwartymi ustami. – Ty jesteś uzależniona od komórki, a ja jestem więźniem węglowodanów, i chociaż nie wiem, na co bym przysięgał, to kiedy tylko kelner przyniesie następny koszyk z pieczywem, zjem wszystko sam i nie dam ci nawet spróbować!

Znowu się śmieję.

– Nie przejmuj się – uspokajam go. – Ja wolę białko zwierzęce, zwłaszcza ryby!

– Wobec tego z pewnością dojdziemy do porozumienia! Ja zjem tę odrobinę makaronu, a ty dostaniesz dwie krewetki.

– Doskonale! – odpowiadam, a kelner stawia na stole danie, którym nawet wróbelek by się nie najadł.

– Cóż, później zabiorę cię gdzieś na pizzę – śmieje się Maurizio. – Byłaś kiedyś na diecie oczyszczającej? – pyta, wybierając owoce morza z makaronu.

– Nie, nigdy!

– Ja byłem, w zeszłym roku, w Grecji. Od czasu do czasu, latem, dostaję jakąś chałturę – miałem wtedy napisać artykuł do „Vogue’a”, wiesz, oni zawsze domagają się tych wydumanych historyjek, typu ą ę, bułkę przez bibułkę... A więc

pakiet Ayuverda obejmujący trzy zabiegi hydrokolonoterapii, trzydzieści pięć godzin medytacji, joga, masaże, polewanie ciepłym olejem, zjedzenia tylko surowizna.

– No i jak było? – pytam zaciekawiona, atakując widelcem krewetkę.

– Fantastycznie! Nigdy nie czułem się tak przytomny na umyśle i tak lekki i świadomy bliskości z Matką Ziemią!

– No i?

– Kiedy stamtąd wyszedłem, od razu zjadłem faszerowanego królika i popiłem to retsiną!

Wybucham śmiechem.

– Nawet mi nie wspominaj retsiny, błagam, najgorsze popijawy mojego życia! – wyznaję.

– Czyli i ty przerabiałas te wszystkie pieprzone zachody słońca?

– Dokładnie tak, pieprzone zachody słońca! Mam je głęboko gdzieś!

– Toast za pieprzone zachody słońca! – Wznosi kieliszek, nieco już rozochocony bąbelkami.

Stukam się z nim, czując znajome wibracje w dole kręgosłupa.

Znowu przepraszam i wracam do łazienki, w obawie, że dostanę paraliżu kręgosłupa od fal elektromagnetycznych.

– Czego znów chcesz? – warczę.

– Jak tam kolacyjka?

– Miło, a co?

– Bo rozłączyłaś mnie w pół słowa, ot co! O której godzinie zamierzasz wrócić do domu?!

– Bo ja wiem? Pewnie kiedy skończymy, a co?

– Wcale mi się to nie podoba!

Tak, to jest prawdziwie głęboka satysfakcja, wibrujące majtki mogą się schować!

– Przykro mi, ale będziesz musiał jeszcze poczekać, wieczór dopiero się zaczął. O ile znajdę siłę i ochotę, dam ci znać, kiedy wrócę do domu! Może!

– Co ja ci takiego zrobiłem? – marudzi rozdrażniony.

– Nic, zupełnie nic. – Rozłączam się.

Wracam do Maurizia, który właśnie zamówił drugą butelkę szampana.

– Chyba nie zatrulaś się krewetkami? – pyta, przeżuając kolejny kawałek chleba.

– Mam nadzieję, że nie, ale mam słaby pęcherz – odpowiadam, nie patrząc mu w oczy, skubiąc chrupiące grissini, w nadziei, że szybko dostaniemy drugie danie.

– Masz dużo związków na koncie?

– Nie – przyznaję. – Prawdę mówiąc, zaledwie kilka, ale za to intensywnych.

– Ja też – mówi, po czym wyciera usta i upija łyk z kieliszka. – Ale przyznaję, że chciałbym się zakochać, na poważnie i na zawsze. Jestem z natury leniwy, pragnę w końcu się odprężyć i już dłużej się nie martwić, to jakiś koszmar, ta ciągła nadzieja, że może właśnie ona okaże się tą jedyną! Pomijając fakt, że to kosztuje fortunę!

– Dlaczego nie zapraszasz ich do McDonalda? Pięć euro i z głowy.

– Mówisz z własnego doświadczenia? – pyta.

– A żebyś wiedział. – Bawię się widelcem. – Psychopaci to zhora naszych czasów – mówię w zamyśleniu, kreśląc serduszka na talerzu.

– Może jest coś więcej, coś, czego nie jesteśmy świadomi. Przeznaczenie i tym podobne.

– Wolę myśleć, że sami musimy walczyć o siebie i wygrywać z własnymi słabościami. To brzmi dumniej.

– Uważaj, księżniczko! Twierdzisz, że powinniśmy przystosowywać się do tych, których nie znosimy? Tych, których zesłał nam kosmos, żebyśmy rozwijali naszą tolerancję? Czekaj... czekaj... – Dłonią kreśli gest w powietrzu. – W rzeczywistości nienawidzimy osób, które przypominają nam nas samych, i dlatego powinniśmy się zmuszać, by z nimi być, bo wtedy stajemy się lepszymi ludźmi? O nie, moja droga, przykro mi, ale ja nie jestem męczennikiem.

– Czy nie byłoby zbyt łatwo, gdybyśmy tylko czekali z otwartymi ramionami? – odpowiadam, opierając podbródek na dłoniach.

– Może i tak, ale czasem myślę, że trudno jest znaleźć kogoś, z kim można stworzyć coś... normalnego. Na przykład polecieć na weekend do Paryża, zamknąć się w pokoju i objadać croissantami? Czy ja proszę o zbyt wiele?

Robi mi się ciemno przed oczami, ale nie daję nic po sobie znać, poprawiam się na krześle i rozglądam za kelnerem, błagając go wzrokiem, aby przyniósł nam drugie danie.

Nie mógł przecież tak po prostu powtórzyć tego samego zdania, które powiedziałam do Marty kilka dni temu.

– Tak, ale Paryż jest przereklamowany... – rzucam od niechcienia.

– No dobra, to był tylko przykład! Więc do Marrakeszu albo do Stambułu.

Dwa kolejne miejsca na mojej liście, zaraz po Australii.

Komórka znowu wibruje, a ja wstaję niczym automat i kieruję się do łazienki.

– Teraz już naprawdę zaczynasz mnie wkurzać! – wybucham, trochę podpita.

– Co robisz?

– Jem! Co, do cholery, można robić w restauracji? – prychem z wściekłością. Cisza.

– Bri, słuchaj, muszę ci to powiedzieć, jestem potwornie zazdrosny, nie

zniosę myśli, że jesz kolację z drugim mężczyzną! – jęczy.

– A co ja mam czuć na myśl, skoro jesteś żonaty z inną kobietą?

– Wiem, ale to tylko kwestia czasu, uwierz mi, już niedługo będziemy szczęśliwi we dwoje! Na zawsze... Słuchaj... Czy masz na sobie te buty na obcasie, co ostatnio?

Patrzę na swoje stopy.

– Tak, a bo co?

– Możesz podeptać mnie po kręgosłupie? – pyta błagalnie.

Potrząsam głową i myślę o psychopatach.

– Jasne... to wszystko?

– Chciałbym też, żebyś rozsmarowała na mnie miód, a później wszystko zliziała!

Mogę też wysłać Misia Yogi, żeby odwalił za mnie robotę, myślę.

– Okej, teraz masz związane ręce i nogi i opaskę na oczach. Polewam cię całego ciepłym miodem, czujesz?

– Tak, to cudowne, ciepły i kleisty, wylizesz mnie?

– Tak, wylizę, wszystko wylizę – mówię, poprawiając włosy przed lustrem.

– Fantastycznie, jesteś boska, zmysłowa, ciepła, jeszcze, proszę cię, doprowadzasz mnie do szaleństwa!

– Teraz ocieram się o ciebie i gryzę płatki twoich uszu...

– O tak, czuję twoje usta, gryź mnie mocniej!

Patrzę na zegarek: muszę się pospieszyć.

– Gryzę z całych sił i wysypuję ci na piersi pinezki i uderzam w nie młotkiem, nie możesz mi się oprzeć, zadaję ci ból...

– O tak, co za ból, nieznośny, jak boli... Bij mnie, jeszcze!

Nie ma problemu...

– Nastąpię na ciebie obcasem, w porządku?

– Tak, obcasem, dalej, nie przestawaj! O Boże, jak boli...!

Ktoś puka do drzwi.

– Już wychodzę! Jeszcze tylko sekundkę! – wołam.

– No już, trzepię cię jak stary dywan – zachęcam go. – No, dalej...

– Spieszysz się? – pyta między jednym a drugim jękiem podniecenia.

– Trochę, wiesz, kolejka się ustawiła do łazienki.

– Ufff, ale z ciebie jędza, no weź, zadaj mi ból, chcę być twoim niewolnikiem, czy może teraz wolisz tego Maurizia?

Poważnie, w tej chwili odpowiedź na to pytanie jest oczywista.

– Czy drapię wystarczająco mocno? – pytam, włączając i wyłączając światło, żeby trochę zyskać na czasie.

– Tak, cudownie! Gryź mnie i drap mnie, depcz po mnie!

Znowu pukają.

– Luca, skarbie, naprawdę muszę kończyć. Lokal stanął w płomieniach i strażacy każą mi natychmiast stąd wyjść!

– Tak mnie zostawiasz? – prycha. – Jutro do ciebie przyjadę i tym razem mi nie uciekniesz!

– Hura! – wykrzykuję. – Gdybym wiedziała, że wystarczy randka z innym facetem, żebyś ruszył dupę, już dawno bym się umówiła!

Otwieram drzwi, a starsza pani czekająca na zewnątrz mruga do mnie porozumiewawczo.

– Ja też lubię seks przez telefon.

Wracam do stołu, gdzie Maurizio zajada już swój deser.

– Jak się nazywa? – pyta, wlepiając wzrok w swoją porcję tiramisù.

– Kto jak się nazywa? – Gram na zwłokę, wygładzając spódnice.

– On! – odpowiada, nie zaszczycając mnie nawet spojrzeniem.

Wzruszam ramionami.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz. – Wyciągam łyżeczkę w kierunku ciastka.

– Jestem dziennikarzem, nie idiotą! Chociaż niektórzy traktują to jak synonim. – I odpycha moją rękę, przywłaszczając sobie ostatni kęs tiramisù.

– Hej! – protestuję. – A gdzie twoje maniery?

– Gdzie moje maniery? – powtarza poważnym tonem. – Siedzę tu sam jak frajer od pół godziny! Co chcesz usłyszeć? Tak czy siak, płacę za kolację, już ci to obiecałem.

Chowam twarz w dłoniach i biorę głęboki oddech.

– Jest żonaty – wyznaję.

– Ho, ho! Oryginalne!

Ignoruję go, koncentrując wzrok na serwetce.

– Jesteś już na etapie „jeszcze tylko chwila i na pewno ją zostawi”?

– Tak...

– A więc spokojna głowa, raptem trzydzieści latek, a ona wreszcie umrze ze starości albo zwyczajnie się nim zmęczy, wtedy on szybko zastąpi ją inną.

– Nie bądź cyniczny – mówię urażona. – To naprawdę już tylko kwestia czasu.

– Tego ci życzę! W międzyczasie uważaj, żeby cię nie skrzywdził. – Puszczam do mnie oko i gestem prosi kelnera o rachunek.

Widać, że to przyjaciel Laury.

Wsiadamy do samochodu w skwaszonych nastrojach.

Siedzę sztywno w fotelu i nie mam odwagi się odezwać.

W tle leci *Is it a crime* Sade.

Przereklamowana piosenkarka, której nie znoszę.

– Przykro mi, Maurizio, ale to naprawdę paskudny okres w moim życiu,

uwierz mi...

– Wierzę ci, Bri, ale miałem nadzieję, że chciałaś się rozerwać dzisiaj wieczorem! Naprawdę, świetna z ciebie dziewczyna, mówię to absolutnie szczerze. Ale jeśli wydaje ci się, że wiesz, co robisz... Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć ci szczęścia.

Docieramy przed mój dom w kompletnej ciszy.

Maurizio pochyła się w moją stronę i otwiera mi drzwi.

Chyba zaraz umrę.

Wieczór zaczął się czarująco, a później ja wszystko doszczętnie spieprzyłam.

– No to... cześć. – Wysiadam. Jest mi autentycznie przykro.

– Cześć i powodzenia.

– A więc wykasujesz mój numer?

Patrzy na mnie, jakbym pytała, czy Święty Mikołaj istnieje.

– Dziękuję za kolację, tak czy siak – dodaję jeszcze.

– Dzięki za towarzystwo – odpowiada bez ironii.

Wchodzę do domu i czuję się naprawdę przybita.

Z jednej strony ten jaskiniowiec Luca, który wreszcie zdecydował się zareagować i coś zrobić, a z drugiej strony przez chwilę myślałam, że mogłam zyskać nowego przyjaciela.

Naprawdę świetnie się bawiłam, czułam się przy nim swobodnie i wreszcie nie musiałam nikogo udawać.

Telefon przypomina o swoim istnieniu.

Czytam.

*Jeśli znowu umówisz się z innym, to oszaleję!*

A potem:

*Szkoda! I w dodatku lubisz Proclaimersów!*



## Rozdział 11

Jakoś nie jestem w nastroju na spotkanie z Lucą.

Upłynęło zdecydowanie zbyt dużo czasu i nadszedł moment, żeby ostatecznie wyjaśnić nasze sprawy.

A sporo jest do wyjaśnienia.

W przerwie obiadowej dzwoni Marta.

– Naprawdę spotkałaś się z innym facetem?

– Skąd wiesz?

– Laura nie wytrzymała i o wszystkim mi opowiedziała. Daj spokój, ona nie potrafi trzymać języka za zębami, choćby jej za to płacili.

– Tak, spotkałam się z jej przyjacielem.

– I?

– I nic, byliśmy razem na kolacji. To wszystko.

– Kiedy następna randka?

– Nigdy – stwierdzam z lekkim rozgoryczeniem.

– Kolejny idiota?

– Właśnie nie, bardzo fajny chłopak!

– I dlatego postanowiłaś już nigdy więcej się z nim nie spotkać... Chyba nie rozumiem tej twojej masochistycznej logiki!

– Luca oszalał z zazdrości i nagle postanowił mocno przyspieszyć. Zobaczysz, co teraz się wydarzy, niedowiarku!

– Ja tam trzymam kciuki za tego nowego.

– Jeszcze któregoś dnia będziesz druhną na moim ślubie!

Rozłącza się, chichocząc.

To musi się udać, choćby po to, aby nie dać jej satysfakcji.

Co za stres.

W biurze wszystko wróciło do normalności, tylko Borchy kursuje częściej między swoim gabinetem a watykanem.

Śmiejemy się z Agatą, stawiając krzyżyk za każdym razem, kiedy otwiera i zamyka archiwum.

Ja naliczyłam dwadzieścia dziewięć.

Wieczorem, żeby nie kusić losu, odpuszczam sobie gotowanie wymyślnych dań, które pewnie czekałyby w piekarniku osiem godzin na jego przybycie, i w barze przed domem kupuję kurczaka z rożna i frytki. Właśnie nakrywam do stołu, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi.

Jestem w szoku! Nie ma jeszcze wpół do dziewiątej, a on już się zjawił, za wcześnie o jakieś trzy godziny, wzięwszy pod uwagę, że zazwyczaj spóźnia się

cztery!

Otwieram drzwi i widzę przed sobą ogromny bukiet kwiatów, za którymi ukrywa się Luca.

Obejmuje mnie w pasie i unosi w powietrze.

Wygląda świetnie, ogolony, wyperfumowany i prosto spod prysznic.

– Jesteś moim narkotykiem! – Chwyta mnie w ramiona i niesie do sypialni. – Nie mogłem się doczekać!

Brak mi tchu z emocji.

Chyba nigdy wcześniej nie był tak namiętny.

Rozbieramy się pospiesznie, zrzucając na ziemię ubrania, które pies natychmiast zaciąga za kanapę, jak wszystkie rzeczy, w które może wbić zęby.

– Strasznie za tobą tęskniłam – szepczę mu do ucha.

– Ja za tobą też – dyszy. – Wczoraj byłem naprawdę wściekły, że spotkałaś się z tym typkiem, bardzo, bardzo wściekły – mówi, nie przestając mnie całować.

Uśmiecham się z zadowoleniem i czekam, aż rozepnie mi stanik, on jednak zastyga w pół gestu i patrzy mi w oczy.

– A może włożysz strój, który ode mnie dostałaś?

– Strój seksownej kelnereczki? – Patrzę na niego pytająco.

Kiwa głową z chytrym uśmiechem.

– A czy tak nie jest dobrze? Już prawie nic na sobie nie mam.

– No proszę, zrób mi tę przyjemność, ten jeden, jedyny raz! – prosi.

Wzdycham, wstaję i potykam się o własne spodnie w drodze do komody, z której wyciągam pudełko. Luca patrzy na mnie w pełnej napięcia ciszy.

W łazience naciągam na nogi pończochy kabaretki, wkładam fartuszek i zawiązuję sobie muszkę na szyi.

Patrzę na siebie w lustrze i przysięgam, czuję się jak skończona idiotka!

Usiłuję przybrać zmysłowy wyraz twarzy, wzorując się na minie dziewczyny z opakowania, wydymam usta jak kaczka, ale efekt jest mało przekonujący.

Ale skoro to mu się podoba...

Wychodzę z łazienki i widzę, że czeka na łóżku z błyszczącymi z podniecenia oczami.

– Już się pan zdecydował? – pytam, biorąc do ręki notes i długopis z biurka.

– Wow! Obróć się, niech ci się przyjrzę. – Kiwa na mnie palcem.

Obracam się i czuję się jak jedna z tych panienek sprzedających papierosy w night clubie w filmach z lat siedemdziesiątych.

– Wyglądasz zjawiskowo! – wykrzykuje, łapie mnie za rękę i pociąga na łóżko.

A to romantyk...

Po dziesięciu minutach bezowocnych prób z całej jego namiętności uchodzi powietrze jak z przekłutego balonika.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje – mówi rozgoryczony i zirytowany zarazem, wpatrując się w sufit.

– To pewnie stres. – Obracam się na bok i opieram głowę na łokciu.

– Jaki znowu stres! Coś musiało pójść nie tak, nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło!

Na jego twarzy maluje się takie zakłopotanie, że mimowolnie wybucham śmiechem.

– To nie jest zabawne. Naprawdę, nigdy mi się tak nie zdarzyło, wszystko chodziło jak w zegarku!

– Może pomyliłam kostiumy. – Nie mogę przestać chichotać. – Kup mi strój Zorro, a wtedy się uda!

– Nie rozumiem, co w tym śmiesznego. – Obrażony zaczyna się ubierać. – W ogóle mi nie pomagasz!

Rechoczę jak opętana.

– Jeśli chcesz, to pójdę do drugiego pokoju i do ciebie zadzwonię, zazwyczaj to działa! – Ściągam z siebie absurdalną muszkę i wkładam podkoszulek.

– Doprawdy, mnie wcale nie jest do śmiechu! – burczy, nawet na mnie nie patrząc, i wkłada buty.

– No, już... Przecież nic się nie stało... I tak cię kocham. – Wichrzę mu włosy.

– I tak mnie rzucisz dla tego tam, dobrze wiem – marudzi. – Zasłużyłem sobie na to!

Przez chwilę pojawia mi się przed oczami twarz Maurizia, który mówi: „Jesteś już na etapie »jeszcze tylko chwila i na pewno ją zostawi«?”.

Odganiam tę myśl jak natrętną muchę.

Teraz albo nigdy.

– Słuchaj, Luca, tak à propos naszej dwójki... – Podchodzę bliżej i gładzę go po policzku. – Wiem, że to trudny dla ciebie moment, więc nie żądam od ciebie podania konkretnej daty, ale chciałabym... Może byłbyś w stanie podać mi chociaż rok?

– To nie takie proste, zwłaszcza teraz, Bri, matka Nadii trafiła do szpitala...

– Kładzie mi rękę na ramionach. – Ale ja cię kocham i musisz mi uwierzyć, że zrobię wszystko, aby z tobą być.

– Zrozum, ja nie mogę czekać w nieskończoność. Trzymasz mnie w niepewności, jak na smyczy... – Czuję wielki smutek.

Obejmuje mnie.

Zbieram w sobie całą swoją odwagę. Zrobię ten krok, choć tak bardzo się boję, że go stracę, wiem jednak, że nie mogę tego tak ciągnąć w nieskończoność.

Bo znam siebie i wiem, że byłabym do tego zdolna.

– Wobec tego muszę poczuć, że jesteś obecny w moim życiu, bardziej niż

dotychczas – nalegam.

– Ale przecież codziennie do siebie dzwoniemy, ciągle do ciebie piszę...

A teraz jestem tutaj...

– Dla mnie to za mało. Marzę o wspólnej przyszłości, wspólnym życiu, związku z prawdziwego zdarzenia... W przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie co?

– Dajmy sobie spokój – mówię, udając, że sama w to wierzę.

– Nie, nie możemy! – Sprzeciwia się gwałtownie.

– A więc pokaż mi, że się starasz, udowodnij, że ci na mnie zależy! Czy ja wiem, wyjedźmy razem na weekend, spotkajmy się w ciągu dnia, chodźmy na wystawę albo chociaż na zakupy!

– To zbyt ryzykowne! – Blednie.

– Luca! – przerywam mu, korzystając z jego niezdecydowania. – Obiecałeś, że z nią porozmawiasz, czy coś źle zrozumiałam? Bo jeśli tak, muszę wiedzieć. Nie mam zamiaru być wiecznie twoją kochanką, postawmy sprawę jasno!

– Wiem, ale proszę, abys jeszcze trochę poczekała... – skamle.

– Jeszcze trochę, to znaczy ile? – Nie odpuszczam. – Za każdym razem znajdziesz nową wymówkę! Najpierw kredyt, teraz teściowa w szpitalu... Mam wrażenie, że wodzisz mnie za nos i nie masz najmniejszego zamiaru cokolwiek zmieniać, bo w gruncie rzeczy właśnie tak jest ci najwygodniej! – Nie potrafię uwierzyć, ile we mnie stanowczości.

– Bri, przestań, nie mów tak, proszę, czuję się podle. – Próbuje mnie przytulić.

– Nie jesteś w stanie zrozumieć, co to znaczy dzielić się tobą z drugą kobietą – szepczę.

– Właśnie, że tak... Dotarło to do mnie wczoraj, kiedy byłaś na kolacji z tamtym facetem.

– Widzisz? Pomyśl, jak ty byś się czuł, gdybym spotykała się z nim codziennie, gdybym była z innym.

– Nie potrafię.

– Zamierzasz więc coś z tym zrobić? – pytam, ujmując jego twarz w dłonie.

– Okej, zabiorę cię na kolację!

## Rozdział 12

– Przysięgam, że wszystko zmierza w jak najlepszym kierunku! – oznajmiam Marcie i Laurze, które wpadły do mnie na kolację.

– Rozstał się z żoną? – pyta Marta.

– Jeszcze nie, ale teraz naprawdę zrobi wszystko, co w jego mocy – stwierdzam entuzjastycznie, po czym odgryzam potężny kęs pizzy.

– Ale nadal jej nie zostawił! – upiera się.

– To nie takie proste, ona ma depresję, przecież nie będzie ryzykował, że ona popełni samobójstwo z jego powodu, co nie?

– Samobójstwo z jego powodu! – wykrzykuje Marta. – Chyba go przeceniasz!

– Może jego żona to całkiem miła dziewczyna – wtrąca Laura, odrywając brzeg ciasta.

– Żony nigdy nie są miłymi dziewczynami – sprzeciwia się Marta.

– Przestańcie wreszcie! – wybucham. – Najważniejsze, że daje z siebie wszystko!

– Czyli co, koniec z telefonami? – insynuuje Marta.

– Jakimi telefonami? – dziwi się Laura.

– Seks przez telefon – wyjaśnia Marta, napełniając kieliszki całej naszej trójce. – Wyobrażasz sobie?

– O rany, ktoś jeszcze to robi? Myślałam, że teraz już tylko się czatuje...

– A co ty wiesz o czatowaniu? – podśmiewa się Marta.

– Jestem singlem od siedmiu lat, muszę sobie jakoś radzić. Czego wy ode mnie chcecie?

Wymieniamy z Martą zdumione spojrzenia.

– Spotkałaś się znowu z Mauriziem? – dopytuje Marta.

– Po prostu nie zaiskrzyło! – Wzruszam ramionami, chociaż wspomnienie tamtego wieczoru nieco mnie przygnębia.

– Szkoda, trzymałam za niego kciuki – mówi Laura.

– Trochę więcej optymizmu! – oznajmiam. – W piątek wieczorem Luca zabiera mnie na kolację do restauracji z prawdziwego zdarzenia.

– Niesłychane! W jakim mieście jest ta restauracja?

– W naszym! – Potrząsam głową ze śmiechem.

– Ja tam myślę, że koniec końców, Bri dopnie swego! – oświadcza z przekonaniem Laura, po czym upija łyk wina. – Dajmy mu szansę, co? Każdy może w końcu się zmienić na lepsze!

Marta kręci głową.

– Starego psa nowych sztuczek nie nauczysz...  
– Jeśli naprawdę ją kocha, to się dla niej zmieni – upiera się przy swoim. –  
W filmach tak zawsze się dzieje!

– Laura, kiedy zamierzasz wyprowadzić się ze świata Disneya? Ludzie nigdy się nie zmieniają tak naprawdę, zapamiętaj to sobie!

– Przynajmniej księżę z Disneya nie zagląda do kieliszka – mamrocze.  
Marta piorunuje Laurę spojrzeniem i zapala papierosa, żeby jej nie przywalić.

Uśmiecham się do siebie.

Tym razem jestem przekonana, że wszystko dobrze się skończy i że Luca wreszcie zrozumiał, jak się czuję, kiedy go przy mnie nie ma.

Jasne, muszę uzbroić się w kosmiczną cierpliwość, ale zaczynam dochodzić do wniosku, że kobiety i mężczyźni mają po prostu inne wyczucie czasu.

Kiedy my, kobiety, zakochujemy się w kimś, to zatracamy się całkowicie w tym uczuciu, chcemy być szczęśliwe teraz, zaraz, już. Z tego samego powodu nie potrafimy wytrwać w związkach, które nie dają nam szczęścia, i gdy coś idzie nie tak, od razu kładziemy na nich krzyżyk, nie zwracając uwagi na potencjalne konsekwencje naszej decyzji.

Oni są z innej bajki, potrafią czekać i czekać, w nadziei, że to ta druga strona ich zostawi, aby nie musieli stawiać czoła kłótniom, łzom i poczuciu winy.

Przed pójściem spać dostaję klasycznego esemesa:

*Chciałbym być łzą, by rodzić się*

*W twych oczach, żyć jak smuga*

*Na twojej twarzy i umierać na*

*Twoich wargach.*

Tak, jestem święcie przekonana, że od teraz wszystko zacznie się wreszcie układać.

Umawiamy się już na miejscu, w restauracji. W najbliższy piątek.

Nie jest tak luksusowa, jak tamta, do której zaprosił mnie Maurizio, ale liczą się dobre chęci.

Pada deszcz, a ja w nieskończoność szukam miejsca parkingowego.

Docieram spóźniona dziesięć minut, ale jego wciąż nie ma.

*Kiedy będziesz?*

Wysłałam esemesa nieco rozdrażniona.

*5 minut.*

Odpisuje.

Stoję pięć minut, dziesięć, wreszcie po dwudziestu minutach wchodzę do środka i pytam o rezerwację na nazwisko Bevilacqua, ale dowiaduję się, że nie zarezerwował stolika, więc jestem zmuszona poczekać, aż coś się zwolni, i dostaję w końcu stolik wciśnięty między bar a drzwi kuchenne, które otwierają się na

oścież punktualnie co cztery sekundy.

Moja irytacja osiąga poziom krytyczny.

*Gdzie jesteś???*

*Jeszcze chwileczkę, zaraz będę, zajmij miejsce.*

Nie, czekam na ciebie na deszczu...

Koło dziewiątej zaczynam mieć już tego wszystkiego po dziurki w nosie, ale w tej samej chwili, kiedy wstaję od stolika, żeby stąd wyjść, widzę go. Stoi w drzwiach wejściowych z przepaszającą miną.

– Nie wyobrażasz sobie, co się porobiło na drogach przez ten deszcz, wszyscy się wleką jak muchy w smole, i pomyśl, że specjalnie wyszedłem godzinę wcześniej z pracy, żeby dotrzeć na czas! Jesteś na mnie zła? – Całuje mnie w policzek.

– Już miałam iść na policję i zgłosić twoje zaginięcie!

– Powinnaś wreszcie mi zaufać. – Wsadza nos w menu, nie zwracając nawet uwagi na moje uczesanie prosto od fryzjera i nową bluzeczkę.

Mała Cyganka z czerwoną różą podchodzi do naszego stolika i wyciąga do mnie rękę.

– Dziękuję! – mówię i spoglądam wymownie na Lucę.

Ale on wrywa mi różę z dłoni i oddaje kwiatek dziewczynce, po czym odgania ją ze złością.

– Luca! Co ci odbiło? Zadrapałam się w rękę! – Przecieram sobie nadgarstek mokrą serwetką.

– Cierpliwość to jedno, ale ja ich po prostu nie znoszę! Niech wracają, skąd przyszli!

– Przecież to była tylko mała dziewczynka! Co ona ci zrobiła złego?! – protestuję.

– Na razie nic, ale zobaczysz, jak podrośnie.

Zaciskam zęby, żeby uniknąć kłótni, i usiłuję skupić się na menu. Knajpka jest jednak mocno turystyczna i na liście dań nie znajduję nic szczególnie kuszącego.

Za każdym razem, gdy otwierają się drzwi wejściowe, Luca ogląda się niespokojnie za siebie, jak Al Pacino, który obawia się, że pościg może go dopaść w każdej chwili. Czuję, jak zaczyna mi się udzielać jego panika.

– Boisz się, że ktoś cię rozpozna? – pytam półgłosem.

– Nigdy nie wiadomo, niestety... – Wzrusza ramionami. – Wolałbym nie spotkać nikogo znajomego. Wiesz, stan mamy Nadii znacznie się pogorszył i to naprawdę mało odpowiedni moment na rozmowę o rozstaniu – wyjaśnia sucho.

Nie znoszę, gdy używa liczby mnogiej, gdy mówi o sobie i żonie, nie znoszę też, kiedy zwraca się do mnie z dystansem, czuję się wtedy jak jego daleka znajoma. A jednak dziś po raz pierwszy użył słowa rozstanie, co oznacza, że

poważnie rozważa ten krok.

Na znak zrozumienia przykrywam jego dłoń swoją, ale on wrywa rękę.

– Wybacz, ale... – syczy – ktoś mógłby nas zobaczyć!

Pochmurnieję.

Nie tak miało to wyglądać. Nie to miałam na myśli, gdy planowałam wspólne wyjście.

On zwyczajnie robi mi grzeczność.

Tego wieczoru jeszcze bardziej mi przykro na myśl o randce z Mauriziem.

Luca zauważa mój nastrój i odkłada menu na stół.

– Wybacz, skarbie, nie chciałem zranić twoich uczuć. Po prostu nie jestem do tego przyzwyczajony, to dla mnie bardzo dziwne, rozumiesz? A przecież ja naprawdę teraz potrzebuję twojego wsparcia.

Uśmiecham się ze smutkiem.

– Jak mogę ci pomóc?

– Bądź przy mnie, spraw, bym czuł twoją bliskość, i mów mi zawsze, co czujesz, żebym zrozumiał, kiedy popełniam błędy – wyznaje mi szczerze.

Będzie ciężko, ale może nam się jednak uda.

Musi nam się udać.

Sprostowanie: będzie potwornie ciężko.

Nie rozmawiamy zbyt wiele, ale przynajmniej doceniam jego poświęcenie.

To mały, ale ważny krok.

Kiedy przychodzi do płacenia, widzę, jak nerwowo oklepuje kieszenie marynarki i spodni.

– Co się dzieje? – pytam, naciągając na siebie płaszcz.

– Portfel! – wyjaśnia zaniepokojony. – Nie mogę go znaleźć!

Zasłaniam ręką usta, żeby się głośno nie roześmiać.

– To na pewno sprawka tej Cyganki!

Wybucham niepohamowanym śmiechem.

– Przestań wreszcie się śmiać, działasz mi na nerwy! – przerywa mi szorstko.

Staram się, ale nie daję rady, to silniejsze ode mnie.

– Chciałabym, ale nie potrafię! Gdybyś widział swoją minę! – Pokazuję na niego palcem, trzymając się za brzuch.

– Teraz to ty będziesz musiała za to wszystko zapłacić! – oświadcza lodowatym tonem.

Natychmiast przestaję się śmiać i wielkimi krokami ruszam obrażona w kierunku kasy.

Bez mrugnięcia okiem płacę trzydzieści euro za rozgotowany makaron i najtańsze wino. Wciąż pada, gdy idziemy powoli w kierunku mojego samochodu.

W kompletnej ciszy.

– Dzięki za miły wieczór! – rzucam ironicznie przez okno samochodu.



– Do następnego razu – mówi ostrożnie.

Odjeżdżam, nie racząc mu odpowiedzieć, zostawiam go stojącego na chodniku z opuszczoną głową.

Nie wiem, czy długo tak wytrzymam.

Ta huśtawka emocjonalna robi się nie do zniesienia.

W jednej chwili jest zakochany po uszy, sekundę później histeryzuje i nic do niego nie trafia.

Powinam założyć grupę wsparcia dla telefonoholiczek, które z komórką w ręce czekają, aż oni zostawią swoje partnerki.

Albo zacznę pisać bloga.

Wracam do domu w fatalnym humorze, a kiedy słyszę sygnał wiadomości, mam ochotę roztrzaskać telefon o ścianę.

A później czytam:

*Tak z ciekawości, w końcu zostawił żonę czy nie?*

I wybucham śmiechem.

## Rozdział 13

– Doradzisz mi model? – pytam Laury, która pokazuje mi smartfona najnowszej generacji.

– Moim zdaniem weź samsunga!

– Mam już dość jego przedpotopowej komórki i po dziurki w nosie tych eemesów.

W przyszłym tygodniu są urodziny Luki, więc postanowiłam zrobić mu prezent. Mam nadzieję, że to doceni, żonie może przecież powiedzieć, że dostał smartfona od kolegów z pracy.

Jestem beznadziejnym przypadkiem, skoro jeszcze wymyślam mu wymówkę.

Laura uśmiecha się i idzie do kasy.

– Na pewno mu się bardzo spodoba!

Płacę i wychodzę. Czarny SUV z zawrotną prędkością przecina przejście dla pieszych i hamuje ostro kawałek dalej.

Laura wygląda przez drzwi sklepu.

– To ten palant, o którym ci mówiłam, widziałas go? Zawsze tędy przejeżdża, pędzi jak wariat i parkuje pod domem jednej rudej.

Widzę, jak wysiada z samochodu, dzwoni dzwonkiem do drzwi i gestem nakazuje dziewczynie, która pojawia się w oknie, żeby się pospieszyła.

Chwilę później ruda rzuca mu się na szyję, kręci biodrami w obcisłych džinsach i odrzuca do tyłu burzę cudnych rudych loków. Całuje go w usta i razem wsiadają do SUV-a.

Na oko ma jakieś dwadzieścia dwa lata.

Patrzę na Laure.

– Ty wiesz, że to Luca, prawda?

– Mówiłam ci, że wydał mi się podobny!

Docieram do biura i mam wrażenie, że zaraz wyjdę z siebie.

Płakałam przez całą drogę i za chwilę eksploduję ze złości, niepokoju i wstydu.

– Kto to jest? Kto to, kurwa, jest?! – wrzeszczę, waląc pięściami w kierownicę.

Trzęsą mi się ręce i czuję bolesne pulsowanie w skroniach.

Pomijam już fakt, że jest żonaty, ale że ma jeszcze jedną kochankę!? Nie zniosę tego, nie wytrzymam!

Czy to możliwe, że taka z niego świnia?!

Chcę do niego zadzwonić i jednocześnie panicznie się boję, że potwierdzi moje podejrzenia.

Postanawiam najpierw się uspokoić i zebrać całą swoją mizerną odwagę na rozmowę z nim.

Ale ja się przecież nigdy nie uspokoję, na pewno nie bez pomocy substancji chemicznych!

Musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

I tym razem na pewno się znajdzie.

Borchi ma chyba wmontowany jakiś radar, bo trzyma mnie w swoim gabinecie przez cały poranek i dyktuje mi całą serię mejli do klientów.

Mam problemy z koncentracją i nieustannie zerkam na telefon w nadziei, że zadzwoni i opowie mi historię o swoim bracie bliźniaku. Łyknęłabym i to.

Kiedy wreszcie Borchi wypuszcza mnie na wolność, jest już pierwsza po południu.

I jeszcze ten samochód! Skąd go wziął?

To jakiś koszmar.

Zamykam się w łazience i dzwonię.

Mam żołądek ściśnięty ze strachu, który wzmacnia się z każdym sygnałem.

Wyobrażam sobie, jak bawią się w kowbojów i Indianki, i mam wrażenie, że zaraz oszaleję.

Wreszcie odbiera. Trzęsie mi się głos i nie jestem w stanie udawać.

– Widziałam cię dzisiaj rano! – strzelam.

Cisza.

– Naprawdę? To dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? – pyta spokojnym tonem.

– Bo byłeś z jakąś rudą.

– No tak, z Sabriną zapewne. No i co?

– Jak to, co? – odpowiadam rozwścieczona.

– To moja przyjaciółka, gdzie tu problem?

I znowu czuję się bezbronna, naiwna, natrętna i dziecinna.

– Problem w tym, że podobno codziennie po nią przyjeżdżasz porsche cayenne, a ty twierdziłaś, że jesteś w tym czasie w pracy, gdzie zarabiasz marne grosze na spłatę kredytu...

– To nie moje porsche – śmieje się. – Fajnie by było! To jej samochód, a ona nie potrafi prowadzić, więc jeżdżę z nią od czasu do czasu oglądać mieszkania i pomóc w kupnie. Bardzo mi ufa, znam ją od zawsze.

– A od kiedy to chodzisz na podryw do przedszkola? Ma jakieś dwadzieścia lat! – słyszę swój piskliwy głosik, którego szczerze nie znoszę.

– Nieprawda, dwadzieścia dziewięć! Chyba nie jesteś zazdrosna?!

– I to mówi ktoś, kto kilka dni temu wydzwaniał jak opętany, bo poszłam na kolację z drugim facetem!

– On cię zabrał na kolację, bo miał wobec ciebie jakieś zamiary, a Sabrina to tylko koleżanka!

Doskonale!

Oficjalnie stałam się karykaturą filmowej narzeczonej histeryczki, której wszyscy nienawidzą.

– I całujecie się w usta?

– Sabrina jest artystką, wszystkich całuje w usta, poza tym jest lesbijką!

Jest lesbijką, no jasne, ależ ze mnie głuptas...

Dlaczego mój mózg skanuje wszystkie pliki w poszukiwaniu wirusów, podczas gdy moje serce mimo wszystko chce otworzyć potencjalnie niebezpieczny załącznik?

Mam wrażenie, że jestem na kolacji z Laurą i Martą!

– A więc wszystko jest w porządku... – mamroczę.

– Oczywiście, że jest w porządku, czym ty się przejmujesz?

– Nie masz romansu z jeszcze jedną kobietą?

– Pewnie, że nie! Uważasz mnie za jakiegoś arabskiego szejka?

– Pomyślałam raczej o mormonach. Wiesz, z furmanką, długą brodą i gromadką piętnastu żon.

Śmieje się rozbawiony i całkowicie pogodny.

O Boże, ten jego głos...

– Kocham cię. Wiesz o tym. I kocham cię, bo potrafisz mnie rozśmieszyć.

– Czuję się beznadziejnie głupia.

– No co ty, dobrze zrobiłaś, że mi o tym powiedziałaś. W zasadzie to ja powinienem był cię uprzedzić! Nauczysz się w końcu mi ufać?

– Nauczę się, przysięgam ci...

Wychodzę z łazienki i mam ciągle wilgotne oczy, żołądek wywrócony do góry nogami i zupełnie nie wiem, co wokół mnie się dzieje.

Agata łapie mnie za ramię.

– Co się znowu stało? – pyta zaniepokojona.

– Nie, nic, małe nieporozumienie.

– Z Lucą?

– Tak, ale to głupota, widziałam go z jedną rudą i bałam się, że mnie zdradza.

– Czyli to nieprawda?

– Nie, to tylko koleżanka, niepotrzebnie się martwiłam.

Patrzy na mnie ze współczuciem.

– I pewnie jest lesbijką, zgadłam?

– Skąd wiesz?

– Szósty zmysł!

Po pracy zwołuję pilne zebranie z Martą i Laurą.

Potrzebuję wsparcia i troski moich przyjaciółek.

Mam wrażenie, że stąпам po rozżarzonych węglach.

– A więc? Jaką wymówkę sobie znalazł tym razem? – pyta Marta.

– To nie jest żadna wymówka, Sabrina jest jego przyjaciółką – mówię, usiłując przybrać zdystansowany i nonszalancki wyraz twarzy, coś jakbym przedawkowała botoks.

Marta w zdumieniu unosi brwi.

– I naprawdę w to wierzysz?

– A dlaczego nie? – pyta Laura.

– Ponieważ to pierwsze, co przychodzi do głowy, kiedy chcesz sprzedać komuś jakąś bajeczkę, ja bym jeszcze dorzuciła, że ruda jest lesbijką.

– Hm, w zasadzie, to...

Marta wybucha śmiechem, a Laura jej wtóruje.

– Dobra, dziewczyny, powiedzcie wprost, że waszym zdaniem robi mnie w balona – mówię poirytowana. – Ja też mam całe mnóstwo wątpliwości, ale kiedy z nim rozmawiałam, nawet mu głos nie zadrżał, nie zachowywał się jak ktoś, kogo przyłapano na gorącym uczynku i czuje się winny!

– Ja bym chciała w to wierzyć. – Laura podnosi rękę.

Marta potrząsa głową.

– Według mnie to patologiczny kłamca, ot co, a na takich nie ma lekarstwa!  
– orzeka.

To mi nie przyszło do głowy.

– Notorycznie spotykałam się z takimi kłamczuchami i teraz potrafię ich wyczuć na kilometr – ciągnie Marta, nalewając sobie trzeci kieliszek prosecco. – Wyobraź sobie, że jeden mnie podrywał, ale zapomniał dodać, że ma narzeczoną, i to w dodatku w ciąży! A na sam koniec miał jeszcze odwagę spytać, dlaczego robię z tego problem.

Śmieję się.

– A inny facet, z którym spotykałam się od sześciu miesięcy, kiedy odkryłam, że ma dziewczynę, napisał mi esemesa: „Jesteś jak szlachetny kamień, który nie potrzebuje złotej oprawy, by błyszczeć”. Odpisałam, że tombak też mi nie jest do niczego potrzebny!

I ja napełniam sobie kieliszek.

– Ktoś mi kiedyś powiedział: „Na twój widok majtki same mi spadają”.

– Wobec tego ja wygrywam – wtrąca się Laura. – 15 grudnia 1989: „Kochanie, wyjdiesz za mnie?” (byłam już w ciąży). 24 grudnia 1989: „Kochanie,

potrzebuję chwili przerwy, jestem zdezorientowany, nie wiem, co się ze mną dzieje, nie jestem już pewny swoich uczuć”. I nigdy więcej go nie zobaczyłam!

Zapada cisza.

– Dziewczyny, możecie się z tego śmiać, teraz wszystko się już ułożyło, przeszło mi, przysięgam! – uspokaja nas.

– Ale co ja powinnam teraz zrobić? – bełkoczę na wpół pijana.

– Rzuć go natychmiast!

– Bez dwóch zdań!

– Nie dam rady, nie potrafię bez niego żyć!

– Już to słyszałyśmy.

– On nie jest kłamcą, to wy tak myślicie.

– W takim razie gdzie on teraz jest? – nie ustępuje Marta.

– Pracuje w domu.

– Zadzwoń.

– Nie mogę! Zwariowałaś? A jeśli żona usłyszy?

– Głupia jesteś czy tylko udajesz? Też masz swoje prawa, nie? A poza tym, sorry, kiedy bawiliście się w sekstelefony, to gdzie była ta żona?

– Co ty w ogóle o nim wiesz? – atakuje mnie Marta. – Adres, numer telefonu stacjonarnego...

– Właściwie, to nie – przyznaję zniechęcona. – Ale twojego numeru telefonu stacjonarnego też nie znam.

– Ale my nie jesteśmy parą, poza tym ja z tobą nigdy nie uprawiałam seksu przez telefon – chichocze. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

Prycham i krzyżuję ramiona na piersiach.

Nie mam najmniejszej ochoty przez to wszystko przechodzić.

Nie mam najmniejszej ochoty stawać na pozycji oszukanej idiotki, która niczego nie zauważyła, bo jest tak ślepo zakochana, że zamyka oczy na prawdę.

Nie jestem głupia, ale ufam ludziom dopóty, dopóki nie zawiodą mojego zaufania.

Są w nas pokłady uprzedzeń i ostrożności, bo miałyśmy niewiarygodnego pecha i teraz nakręcamy się nawzajem, a kiedy tylko trafimy na coś, co nie jest czarno-białe, chętnie skazujemy to od razu na klęskę i bierzemy nogi za pas.

Co się z nami porobiło?

No jasne, teraz mój ruch.

– Jutro musisz poznać jego dokładny adres – rozkazuje Marta.

– Niby jak? Może mam zbeczczyć święty kajecik mecenasa Borchiego? Oszalałaś, wyrzuci mnie z pracy.

– Przecież nawet on czasem chodzi do łazienki! A może ma cewnik?

– Boję się, nie dam rady.

– Musisz, w przeciwnym razie to ja zacznę go śledzić.

Wiem, że byłaby do tego zdolna.

## Rozdział 14

Następnego ranka budzę się w fatalnym humorze. Jest mi strasznie smutno.

Nie potrafię się skupić i wsadzam sobie dwie soczewki kontaktowe do jednego oka, dzięki czemu udaje mi się samą siebie na chwilę oślepić.

Nie chcę wierzyć w żadną z teorii Marty, nie można uprawiać wiecznego czarnowidztwa, bo w końcu ściągniemy na siebie prawdziwego pecha.

Muszę jednak przyznać, że okazałam zbyt wielką ufność, nie zadając mu nigdy żadnych pytań. Zawsze bezwarunkowo wierzyłam w każde jego słowo.

Wiadomość przychodzi punktualnie, jak zwykle:

*Twoje ciało jest jak narkotyk, a ja*

*Nie mogę się oprzeć burzy twych*

*Miedzianych loków*

– Miedzianych loków?! – wrzeszczę.

Łapię za kosmyk moich włosów i przyglądam im się z bliska.

A więc to prawda, zdradza mnie ze swoją przyjaciółką, która tak naprawdę ani trochę nie jest lesbijką!

Ze złości robi mi się ciemno przed oczami. Gdybym go teraz dorwała, udusiłabym go gołymi rękoma, bez chwili namysłu.

Patrzyłabym, jak wije się w powolnej i bolesnej agonii.

Niech go szlag! Niech diabli wezmą tego cholernego dupka i jego bajeczki, jego pieprzone esemesy, jego obietnice, przebieranki, telefony i całą jego durną gadkę!

Kręci mi się w głowie. Nie mogę w to uwierzyć.

Muszę koniecznie się dowiedzieć, gdzie mieszka.

Teraz!

Wchodzę do kancelarii tak wściekła, że ciągnie się za mną wirującą chmura oszalałych neuronów.

Nawet Borchini nie ma odwagi się do mnie odezwać, więc pracuję ze wzrokiem wbitym w biurko aż do chwili, gdy wychodzi na obiad.

Kiedy znika za drzwiami, wpadam jak burza do jego gabinetu, czując na sobie zbaraniały wzrok Agaty, która nie śmie otworzyć ust.

Biorę klucz do watykanu, sprytnie ukryty w pojemniczku po lekach w szufladzie biurka, i rzucam się na kartotekę, gdzie pod literką B znajduje się to, czego szukam. Bevilacqua Luca.

Jego akta zajmują całą półkę.

Gończą kartkują dziesiątki oświadczeń o przychodach.

Ten łajdak importuje kaszmir z Chin, ma łódź, jeden dom nad morzem i dwa



w górach, porsche cayenne, smarta, motor, wszystko skrupulatnie zapisane na żonę. Nie muszę dodawać, że mieszka w najbardziej ekskluzywnej dzielnicy w mieście.

A ten nieskazitelny zwyrodnialec Borchini go kryje.

I tak to działa.

Siedzę na ziemi przysypana stertą papierów, rozczarowana, wściekła, smutna, ale przede wszystkim rozjuszona jak dzika bestia.

Jestem zła na samą siebie.

Zdezorientowana Agata patrzy na mnie, nie domyślając się nawet przyczyny całego tego bajzlu.

Wbijam w nią nieruchome spojrzenie, po czym podnoszę się gwałtownie i wychodzę z biura, trzasnąwszy za sobą drzwiami i porzuciwszy rozbebeszone sekrety watykanu.

Odpalam samochód i ruszam z absurdalną prędkością, dopingowana ślepą furią. W tej chwili jestem niepojęta, niezrównoważona i ekstremalnie niebezpieczna.

Doskonały przepis na wielokrotne morderstwo.

W domu wyciągam karton, do którego wrzucam wszystkie jego prezenty: strój kelnerki, koronkowy peniarz, wibrujące majtki, psa i różowy wibrator, który stał się jego ulubionym gryzakiem. Ładuję całość do samochodu, jakby kierowała mną jakaś siła wyższa.

Jestem Kill Billem.

Droga ciągnie się w nieskończoność, a ja czuję tylko żądzę krwi.

Jego krwi.

Co tam elektrody przyłączone do jaj, ja bym mu je przywiązała do jego porsche cayenne, i ruszyła z czwórki!

Wjeżdżam powoli w zadrzewioną alejkę superekskluzywnej dzielnicy willowej, gdzie domy, w cieniu stuletnich drzew, kryją się za pancernymi bramami. Zatrzymuję się przed trzypiętrową willą, luksusową to mało powiedziane, z ogromnym ogrodem pełnym palm i magnolii. Zauważam zdezelowaną fiestę, zaparkowaną w rogu. Pewnie należy do ogrodnika.

Wysiadam, wyciągam pudło z samochodu i dzwonię do drzwi.

Kiedy otwiera mi pokojówka, pytam o panią Nadię.

Na progu zjawia się ładna, nie ruda, dziewczyna, która nie wygląda na kogoś, kto miałby się zaraz rozwodzić.

– Dzień dobry – wita mnie z uśmiechem. – Słucham.

– No tak... Widzi pani, nie znamy się, ale w tym kartonie jest kilka ciekawych rzeczy, o których powinna pani porozmawiać ze swoim mężem Lucą.

Wchodzę po schodach i stawiam pudło u jej stóp, a pokaźna gromadka Jacków Russellów, machając ogonami i szczekając, pędzi, aby przywitać się z najprawdopodobniej zaginionym braciszkiem. I wtedy widzę małego chłopczyka.

Jeszcze dziecko na dokładkę... Oczywiście.

Nadia wyraźnie blednie, zdaje mi się, że właśnie przytrafiło jej się déjà vu.

– Mamo, zobacz! Lillo wrócił! A tata mówił, że uciekł.

– Ja wolę nazywać go Syfiarz – odpowiadam, obracając się na pięcie. – Tak jak tego, od kogo go dostałam.

Wsiadam do samochodu i czuję, że serce mam roztrzaskane na kawałki.

Spoglądam w tylnym lusterku na Nadię, która nie odrywa wzroku od kartonu. W jej oczach jest pustka i smutek, chłopczyk zaś trzyma psa na rękach i pozwala, by ten lizał go po buzi.

I na dodatek ukradł psa własnemu dziecku! Czy można upaść jeszcze niżej?

Powinnam była wcześniej się połapać.

Moja matka ma rację, zawsze byłam nieco opóźniona w stosunku do mojej siostry, ale teraz to naprawdę dałam się zrobić w konia.

Odjeżdżam z piskiem opon i nie oglądam się za siebie.

Wracam do biura, gdzie Borchy parska jak rozwścieczony byk.

Archiwum zostało zbezczeszczone, a on wydziera się tak głośno, jakby właśnie porwali mu żonę.

Agata na mój widok łapie się za głowę, Borchy wynurza się ze swojego gabinetu i z progu rzuca mi przyprawiające o dreszcze spojrzenie pełne pogardy.

– Proszę natychmiast stąd wyjść i nigdy więcej się tu nie pokazywać – rozkazuje mi. – Albo będzie pani miała kłopoty!

Słowa zamierają mi na ustach, a w uszach dźwięczy nieprzyjazny i groźny głos.

Łagodna i nieśmiała osoba, dla której pracowałam przez wszystkie te lata, była jedynie przykrywką dla jego prawdziwego charakteru – oszusta pozbawionego skrupułów.

Kto wie, ile mu zapłacił Luca za pomoc w tych wszystkich machlojkach fiskalnych.

Kto wie, ile bierze od innych.

Wybiegam z biura i nie mam już bladego pojęcia, co ja w ogóle narobiłam.

Czuję tylko głuchy i głęboki ból, niewytłumaczalny i irracjonalny, który nie pozwala mi zebrać myśli i sprawia, że czuję się samotna i naga.

Żyłam w kłamstwie przez długie miesiące, jak ostatnia kretyńska, kompletna frajerka, łykałam wszystkie jego kłamstwa jak landrynki.

A im większą serwowałam mi ściemę, tym łatwiej było mi w nią wierzyć.

Dziesięć lat pracowałam dla kryminalisty i ubrałam się w strój seksownej kelnerki dla psychopatycznego kłamcy.

Jestem tak wstrząśnięta, że nie potrafię się nawet rozplakać.

Mój telefon dzwoni bardziej zajadle niż zwykle.

To Luca, a ja po raz pierwszy nie zamierzam odebrać, pewnie będzie chciał

mnie zabić, pewnie naśle na mnie chińską mafię.

– Spieprzaj, gnoju! – wrzeszczę w stronę telefonu, który uparcie brzęczy. – Przesztań mnie nękać! – płaczę, zatykając uszy.

Nie mogę uwierzyć w to, co się dookoła mnie dzieje. Nie mogę uwierzyć, że właśnie widziałam jego żonę, nie mogę uwierzyć, że okazał się patologicznym podłym kłamcą, bo wszystko to dowodzi, że jestem skończoną idiotką.

I chociaż ja dałam mu nauczkę, na pewno mu się upiecze.

Bo Luca pewnie dalej będzie okłamywał żonę, Borchii znajdzie sposób, aby nie zapłacić mi nawet odprawy, a ja i tylko ja właśnie straciłam wszystko.

Chyba że...

– Co takiego zrobiłaś? – pyta Maurizio i nalewa mi trzecią szklanekę whisky, w nadziei, że wreszcie przestaną trząść mi się ręce.

– Zawiadomiłam policję skarbową... – powtarzam, trzymając kieliszek oburącz, jak małe dziecko, które wie, że nabroilo.

– Gratulacje! Jesteś moją superbohaterką! – oznajmia, usiłując uporządkować swoją kawalerkę, co polega na przerzucaniu gazet z miejsca na miejsce, gdzie popadnie.

– Byłaś pierwszą osobą, o której pomyślałam, kiedy dotarło do mnie, co ja narobiłam! – szlocham zrozpaczona.

– No już, przestań – mówi pocieszająco. – Moim zdaniem to najlepsze, co mogłaś zrobić. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł o tym napisać. Błagam, powiedz, że zrobiłaś to dla mnie, pozwól mi się łudzić chociaż przez chwilę – prosi z uśmiechem.

– Chyba straciłam rozum, nie pomyślałam o konsekwencjach, chciałam go tylko ukarać!

– I teraz żałujesz?

– Nie, wcale. – Znowu zaczynam szlochać. – Zrobiłabym dokładnie to samo!

– No, ulżyło mi, bo nie da się lubić Kill Billa z wyrzutami sumienia.

Uśmiecham się na myśl o tym, że przychodzą nam do głowy te same głupoty.

– Zamordują mnie i wrzucą moje ciało do rzeki.

– Tak, niewykluczone, ale najpierw jego żona wystąpi o gigantyczne alimenty, a sąd każe mu zapłacić słońną grzywnę, więc zanim sobie o tobie przypomni, minie trochę czasu.

– Myślisz, że go aresztują?

– Moja droga, jesteśmy we Włoszech! Nikt tutaj nie traktuje oszustwa finansowego jako zbrodni, to raczej coś, co możesz sobie wpisać w CV.

Wzdycham, gapiąc się w pustkę.

Nie rozumiem, dlaczego jest taki uśmiechnięty i zadowolony.

– Chciałabyś jeszcze zrobić coś równie nierozsądnego? – pyta i wyjmuję mi kieliszek z rąk.

– Mam zadzwonić do sanepidu i nasłać ich na chińczyka, bo nie smakował ci kurczak w pięciu smakach?

– Pojedziesz ze mną do Australii? Mam całą masę zaległego urlopu, będziemy spać w śpiworze na czerwonej pustyni, objemy się tortem Pavlova i adoptujemy wombata, co ty na to?

Wybucham śmiechem.

I całuję go.

Minęły cztery miesiące.

Maurizio zamieszkał ze mną i staliśmy się nierozłączni.

Wreszcie zrozumiałam, co to znaczy związek, który opiera się na prawdziwej miłości i zaufaniu, i, szczerze mówiąc, nie ma porównania.

Żadnych wykretów, żadnych kłamstw, a przede wszystkim żadnych przebieranek i sekstelefonów... W ogóle ich nie potrzebujemy.

Moja matka przestała mnie dręczyć... chociaż właściwie nie, bo teraz zaczęła domagać się wnuków, według niej mam spore opóźnienie w harmonogramie, nie to, co moja siostra, bla, bla, bla...

Myślimy nad tym, ale teraz planujemy jak najdłużej cieszyć się tym wspaniałym uczuciem, kiedy trafiamy na siebie dwie bratnie dusze.

Marta rzuciła alkoholika, a Laura widuje się z gościem, którego poznała na kursie samoobrony.

W każdą środę spotykamy się u mnie.

To nasz dzień *gossip girl* i nikt nie ma prawa ruszyć go z kalendarza, nawet idealny facet!

Z pomocą Maurizia założyłam bloga, gdzie udzielam porad kobietom tkwiącym w związkach z oszustami i komórkoholiczkom i opowiadam im, co zrobić, by wyjść z nałogu i ująć z życiem.

Moje doświadczenia okazały się pomocne wielu dziewczynom i czuję się naprawdę potrzebna.

Luca i mecenas Borchii są głównymi oskarżonymi w śledztwie finansowym i przebywają w areszcie domowym za popełnienie poważnego przestępstwa podatkowego.

Mogło im się dostać znacznie bardziej.

Ale najgorsze jest to, że koniec końców Marta odkryła, że esemesy, które mi wysyłał, były przepisane słowo w słowo ze strony z romantycznymi cytatami.

A jednak chińska mafia jak dotąd mnie nie dopadła.

Może dlatego, że co tydzień zaglądamy tam na kolację, żeby utrzymać dobre sąsiedzkie stosunki.

Maurizio jest fantastyczny, już wam o tym wspominałam?

Nie ma dnia, w którym byśmy się nie śmiali jak dwójka szaleńców, i to prawdziwe błogosławieństwo, bo oboje już prawie mieliśmy się poddać.

Stało się na odwrót – dopiero w momencie, kiedy czujesz, że wyczerpałaś swój limit cierpliwości, powinnaś zmusić się do jeszcze jednego kroku naprzód, bo właśnie tam czeka na ciebie nagroda.

Tam, gdzie nie spodziewałaś się jej znaleźć, bo byłaś zbyt zmęczona, by spróbować jeszcze raz.

Jest sobota rano.

Promienie słońca leniwie sączą się przez okno, Maurizio pisze coś na komputerze, a ja wyciągam się na kanapie z ostatnim numerem „Vogue’a”.

Dzwoni dzwonek do drzwi.

Spoglądamy na siebie pytająco.

Wstaję i wlekę się do domofonu.

– Proszę pani, tutaj portier, Luca tu jest.

– Kto?!

– Pani kot!

## Podziękowania

Uważam, że rzeczywistość jest bezkonkurencyjnie lepsza od fikcji, i dlatego dziękuję z całego serca wszystkim tym, od których wykradłam strzępy rozmów w metrze, na siłowni i w salonie fryzjerskim.

Dziękuję również niezrównanym przyjaciołom, którzy nie przestają dostarczać mi nowych tematów do moich opowieści!

## **Spis treści**

Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7  
Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział  
14 Podziękowania

